Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 10 zł

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV Łódź, 30 sierpnia 1947 r. Nr 34 (113)

Stanisław Śreniowski

REWIZJONIZM HISTORYCZNY (II)*)

„Jak się postawi włościanin wobec historii, kiedy ze swego punktu widzenia zacznie ją wertować" — takim zapytaniem ostrzegał przed laty szlachecką historiografię polską historyk-polityk, konserwatysta, Michał Bobrzyński.

Nadszedł czas, w którym trwożna zapowiedź Bobrzyńskiego powinna się zacząć realizować. Warstwa, jaką reprezentował, znajdowała się wówczas w połowie drogi odwrotu, było to parę dopiero dziesiątków lat od uwłaszczenia w Galicji, jedno z najgorszych, z najgroźniejszych feudalnych uprawnień pańskich: prawo propinacji straszyło jeszcze na wsi galicyjskiej — w pół wieku później stoimy wobec całkowitej likwidacji wielkiej własności pańskiej. Droga upadku społecznego dawnej warstwy panującej dopełniła się: chłopi stali się wyłącznymi gospodarzami wsi, a współgosparzami kraju. Zjazd pisarzy chłopskich w pałacu rytwiańskim, urządzony z inicjatywy redakcji tygodnika „Wieś", tygodnika wydawanego przez Związek Samopomocy Chłopskiej — stanowi symptom nowych czasów.

Jaką postawę — zapytujecie — **zajęła historiografia w stosunku do zagadnienia chłopskiego w obliczu tych gruntownych przemian ustroju społeczno - politycznego, jaki dokonał się w Polsce w ostatnich latach?**

Niełatwo odpowiedzieć na to.

Przypominam opinię — oficjalną niejako — redakcji „Kwartalnika Historycznego", przytoczoną już w poprzednim artykule: „dziś w wyższym stopniu niż dawniej interesuje chłop jako podmiot dziejów". Co oznacza właściwie ta opinia, czy jest już ona przez historyków realizowana, czy wreszcie odpowiada potrzebom nowych warunków?

W tym oficjalnym programie historiografii naszej widzę **poważne niebezpieczeństwo dla naukowej historii chłopów w Polsce.** Niebezpieczeństwo zwekslowania ich historii na gościniec zupełnie fałszywy.

Chłop jako podmiot dziejów? Historiografia jest instrumentem precyzyjnym — póki stanowi instrument naukowy. Wpływ współczesności na nią nie zawsze daje zdrowe, społecznie pożądane następstwa, odblaski współczesności, niby rozświetlające od nowa przeszłość i otwierające ku niej wstecz miłe rzekomo współczesnemu oku perspektywy — mogą stwarzać efektowne iluzje, ale dezorganizują poprawne warunki widzenia.

Skontrolujmy to na odcinku sprawy chłopskiej:

Co rozumieć przez podmiot dziejów? Sugestii oderwanych od rzeczywistego ustroju może być wiele. Społecznie podmiotem dziejów staje się chłop dzisiaj dopiero i cała wyrazistość rewolucyjności tej nowej sytuacji zasadza się na tym, że dotąd — był chłop społecznie przedmiotem dziejów.

Gdzież zatem miejsce na owe ułudne perspektywy wstecz, w dzieje, jakie szanse i jaki cel tego doszukiwania się podmiotowości roli chłopskiej w przeszłości?

U tych wszystkich pseudorewizjonistów, zobowiązanych, jak im się zdaje, i upoważnionych przez współczesną sytuację społeczno-polityczną do odkrywania w dziejach elementów, które rzekomo dobrze przystają do nowej, dzisiejszej struktury, jej haseł i pojęć — u tych wszystkich działa, jak mi się zdaje, przemożna siła tradycjonalizmu, skłaniającego ich do ulepiania wokół n o w e g o przydatnych, z pozoru, dawnych treści, które jakoby nadają mu ciężaru, wiążą z życiem, urealniają.

W rzeczywistości odrealniają, grożą zdeformowaniem nowych wartości, bałamucą.

Można i tak: chłop zawsze był tym, który uprawiał ziemię, tym, który własną pracą przysparzał wartości, a zatem... podmiotem dziejów. Wtedy linia dziejowa jest dostatecznie długa, zmieniałaby się tylko „forma" społeczna, istotna ich rola pozostałaby właściwie ta sama. Co za sukces tradycjonalistów!

I podobnie można ułożyć sprawy w zakresie historii wojskowości, a nic nie stoi na przeszkodzie, aby powtórzyć ten zabieg i w zakresie historii skarbowości. Stąd krok, aby podobnie traktować całą machinę państwa szlacheckiego — skoro żyli w nim i „działali" przeważnie chłopi. Ten absurdalny pomysł podsuwam dla otrzeźwienia tych, którzy dają się zasugerować owym pseudopostępowym rewizjonizmem.

W istocie jest on szkodliwy i nakowo i społecznie — choćby wbrew najlepszym intencjom jego adherentów, jest tymbardziej szkodliwy, że pozory społeczne przemawiają rzekomo na jego korzyść.

Obraz historyczny w takiej rewizji traci te proporcje socjalne, które dla oczu współczesnych dają mu najwięcej plastyki; formuła „chłop — podmiot dziejów" rwie całą sieć struktury minionej, a historiografia z pod znaku rewizji wystawia przyjemne dla naszych socjalnych uczuć widowisko chłopskie, nowych „Krakowiaków i górali", gdzie wszystko składnie gra, ale „wiewu historii" tam nie ma.

Jeżeli idzie o rolę społeczną takich widowisk, to pozytywną, pobudzającą odgrywały one w sobie właściwym czasie: zbliżały ku „ludowi", rozbudzały żywsze uczucia ku chacie wiejskiej — stanowiły [illegible] **i romantyzmu i humanitaryzmu**, wynikały z mieszanych prądów społecznych, były pogłosem w procesie rozpadu dawnych klas władczych, a zarazem narzędziem ujarzmiania przez nie mas ludowych w nowy sposób, przez skokietowanie ich, przystrojenie w błazeński kolorowy kostium, zdezorientowanie socjalne.

Współczesny pseudorewizjonizm historyczny może spełniać wbrew intencjom historyków podobnie dwoistą rolę społeczną.

Stanowi on swoistą, jeszcze jedną próbę **„uszlachcenia" chłopów;** mówi się o ich „wkładzie" historycznym, o ich zasługach, o ich udziale czynnym w dziejach; przyznaje im się miejsce obok szlachty, siłą rzeczy mniej godne, pośredniejsze, ale z tą moralną szansą, że nie stawia im się już kwalifikacyjnych trudności chociażby i dorównania szlachcie. Od nich samych zależy miejsce, które im historia wyznaczy — tak należałoby dopowiedzieć ten ideologiczny tok myśli. Wielkość zasługi — i sąd historii. Zapominają tylko, że już wszystko dokonało się, oraz że ten sąd historii, który mają na myśli, drepce niezdarnie za „sądem" dziejów i — mimo pozornych wysiłków, nie potrafi się wydostać z kręgu jego czadu.

Dzieje „wyznaczyły" chłopom — jako warstwie — bardzo wyraźnie i stanowczo określone miejsce w ustroju społecznym; „zasługi" chłopstwa mogły się dziać tylko w obrębie tej socjalnej pozycji, która im z systemu przysługiwała; socjalna pozycja otwierała i ograniczała wachlarz możliwych ról społecznych członkom tej warstwy, wachlarz możliwych dla nich form aktywności, decydując zarazem „arbitralnie" o quale i quantum koniecznej, obowiązkowej aktywności (czyt. pracy) w tej klasie społecznej. I nie naodwrót: w wymiarach społecznych, ustrojowych (w perspektywie wielkich liczb) wysiłek indywidualny, „zasługa" członków danej warstwy nie miała wpływu na pozycję socjalną tej warstwy.

Dzieje toczą się nie podług zasad moralności indywidualnej, lecz stosownie do reguł rozwoju społecznego i „poprawianie" dziejów przez historyków rewizjonistów, próbujących zreformować proporcję przeszłości stosownie do „zasług" poszczególnych warstw (z zastosowaniem kryteriów wartości rzekomo dzisiejszych, ale tylko w charakterze subsydiarnym wobec tamtych stanowych kryteriów dziejowych) — żadnego ani społecznie, ani naukowo użytecznego celu, moim zdaniem, nie osiągnie.

Ustrój historyczny, ustrój, który istniał w przeszłości nie nadaje się do przemalowywania go; przeciwnie, z perspektywy ustroju spółczesnego nam, powinien zyskać na ostrości i tym silniej kontrastować w obrazie przemian dziejowych. Uwspółcześnienie historiografii na innych natomiast musi się dokonać drogach niż przez próby „uszlachcenia" chłopów; musi się mianowicie dokonać w formie **uwspółcześnienia „języka naukowego" historiografi,** w formie „transkrypcji" pojęć o przebrzmiałej już ważności na pojęcia dzisiaj żywotne, od nowa przeorania materiału dziejowego przy pomocy współczesnej wiedzy społecznej. I wtedy nie sprawa „wkładu" i nie sprawa zasług, a **sprawa struktury, sprawa układu sił społecznych, sprawa warunków rozwojowych będą pasjonowały historyka.**

Powojenne lata historiografii naszej nie wykazały szczególnego ożywienia wobec dziejów chłopskich.

Publicystyka jest w tej materii bezradna, nie ma skąd czerpać, z konieczności przetrawia wiedzę tradycjonalną, próbuje ją „włączyć" w ton polityczny współczesny, ulega mitologizmowi, idzie za fałszywym rewizjonizmem i również „uszlachca" chłopów. Na tym tle wyróżnia się poważny trud pisarski **J. A. Króla**, który na łamach „Wsi" szuka dróg ku nowemu obrazowi dziejów chłopa w Polsce, jego dziejów najnowszych. Niektóre fragmenty tego pisarstwa znajdują się już na pograniczu publicystyki i naukowej konstrukcji historycznej.

U historyków z zawodu można zanotować kilka zaledwie publikacji z dziejów chłopskich.

Udział chłopów w wojsku Rzeczypospolitej (szlacheckiej) i w wojnach prowadzonych przez nią — jako z jednej strony „wkład" chłopów w dzieje, „zasługa" chłopów, a zarazem jako temat wojskowy, a więc tak aktualny przez skojarzenia z ostatnią wojną, jest przedmiotem kilku prac historycznych wydanych po wojnie. Jedna z nich to zarys prof. St. **Inglota**, przedstawiający, głównie na podstawie dotychczasowej literatury historycznej udział chłopów „w obronie Rzeczypospolitej" w całym przebiegu dziejowym, od czasu pierwszych Piastów do powstania styczniowego włącznie. Niestety, literatura tego przedmiotu nie zawiera zbyt wartościowego materiału, ma na uwadze głównie przepisy prawne, zmierzające do włączenia chłopów w organizację obrony, natomiast sprawa rzeczywistego udziału chłopów w wojsku i charakteru tego udziału wymykała się naogół z pod jej obserwacji; przekazy źródłowe w tym zakresie są wielce zawodne.

Drugą pozycją tego typu jest książka **S. Szczotki** o udziale chłopów w walce z „potopem", mająca pierwsze wydanie już przed wojną. Są to szkice (obecnie pomnożone pod efektowniejszym tytułem: Chłopi obrońcami niepodległości Polski w okresie potopu), mające wykazać patriotyzm chłopów w XVII w.

Zarzucono Szczotce zbagatelizowanie w tych szkicach zagadnień religijnych tego czasu i wiążących się z nimi społecznych (Maria Dąbrowska). Autora poniosła znowu idea „wkładu" i zasług chłopskich: w ówczesnej strukturze socjalnej należałoby niewątpliwie krytyczniej ustosunkować się do takich spraw, jak rzekomo spontaniczne zrywy chłopów w obronie państwa i utarte w historiografii naszej przeciwstawianie patriotyzmu chłopów w tym czasie — haniebnej postawie wojsk szlacheckich. Trzebaby postawić zasadnicze dla całej tej sprawy pytanie: **czyim narzędziem byli chłopi w tych walkach.** Odpowiedź na nie mogłaby prowadzić m. in. do skorygowania sądu o charakterze **inspiracji** jakiej ulegali chłopi w tym kierunku — Szczotka wiele miejsca poświęca agitacji kleru katolickiego.

Przyczynkiem do sprawy udziału chłopów w narodowych akcjach zbrojnych (a zarazem do sprawy Insurekcji kościuszkowskiej) jest wreszcie broszurka **J. Pachońskiego** o Bartoszu Głowackim. W szczególności wysunięta została wątpliwość, czy był on rzeczywiście nobilitowany przez Kościuszkę, jak mówi tradycja. W dyskusji na ten temat wziął udział również doc. **B. Leśnodorski.** Nobilitacja Bartosa jest, jak się zdaje, wytworem legendy, mitologizującej insurekcję narodową także w kierunku jej walorów socjalnych.

Więcej szczęścia niż inne sprawy dziejów chłopskich miał Uniwersał połaniecki. Akademia Umiejętności ogłosiła drukiem odczyt prof. **J. Rutkowskiego** pt. „Uniwersał połaniecki w świetle europejskich reform rolnych XVIII w.", w którym Rutkowski akcentuje rzekomy radykalizm Uniwersału oraz widzi w nim wszechstronność, w niektórych zaś punktach grutowność reformy całego wzajemnego stosunku chłopów i panów. Porównując Uniwersał z reformami współczesnymi mu w innych państwach, dochodzi do wniosku, że zajmuje on poczesne miejsce wśród nich i że góruje nad nim tylko ustawodawstwo Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Rutkowski zwraca uwagę na rolę polityczną Uniwersału, która „trwa po dziś dzień" (w przeciwieństwie do szybko skończonej gospodarczej). „Uniwersał połaniecki jest jedyną świetlaną nicią łączącą dzieje dawnej Rzeczypospolitej z dziejami nowoczesnej wsi polskiej" i to przeświadczenie, nie tylko Rutkowskiego, raczej powszechne, tłumaczy zainteresowanie jakie on wzbudza.

Przeciwko temu tradycjonalnemu poglądowi (o genealogii oczywiście bardzo dawnej, bo jeszcze szlacheckiej) wystąpiłem na łamach miesięcznika „Państwo i Prawo", dowodząc, że pierwotny tekst Uniwersału nie zawierał prawa wolnoprzesiedlności chłopów i że dopiero pod wpływem rewolucji społecznej w Warszawie uzupełniono w ten sposób tekst Uniwersału. Poza tym starałem się przedstawić **funkcję społeczną Uniwersału połanieckiego w rzeczywistych warunkach politycznych i społecznych Insurekcji,** pamiętając o tym, że była ona powstaniem narodowym s z l a c h e c k i m, wobec czego ideologia powstańcza, jakkolwiek postępowa, nie mogła zawierać więcej, niż to było potrzebne dla sprawy szlacheckiej, w opinii postępowego odłamu tej warstwy społecznej.

Zwróciłem uwagę — nie pierwszy zresztą — na te przepisy Uniwersału, które miały służyć utwierdzeniu i zabezpieczeniu ustroju szlacheckiego, poddaństwa i robocizny chłopskiej na folwarkach — przepisy wyrugowane ze świadomości nietylko ogółu, ale i historyków przez mit rewolucyjności, jaki w naszej poszlacheckiej tradycji tak uporczywie towarzyszy Uniwersałowi.

Rozprawka ta wywołała dosyć znaczne echo, w szczególności pogląd mój zwalczał w obronie tradycji historycznej prof. **A. Vetulani** w Towarzystwie Historycznym w Krakowie. Dyskusji na ten temat użyczą jeszcze miejsca łamy „Państwa i Prawa".

Na tle wątłej i nieciekawej na ogół produkcji historycznej w zakresie dziejów chłopów wyróżnia się świetne studium **N. Assorodobraj** o początkach klasy robotniczej w Polsce, dokładniej o problemie rąk roboczych w przemyśle polskim epoki stanisławowskiej. Jest to studium historyczne i socjologiczne, studium zagadnienia niezmiernie ważnego w dziejach chłopów, a dotąd prawie że niezauważonego przez historiografię naszą — przechodzenia luźnego społecznie elementu, głównie chłopów z systemu poddaństwa, na pozycje robotników tworzącego się dopiero przemysłu.

Dla sprawy przeszłości chłopskiej i roli chłopów w systemie kultury polskiej XIX i XX w. pośrednie ale doniosłe znaczenie ma rewelacyjne wręcz studium **J. Chałasińskiego** o społecznej genealogii inteligencji polskiej. Wystarczy powiązać to nowe stu-

*) Część I: Historiografia polska a dzieje chłopów, „Wieś" Nr 33 (113).

dium Chałasińskiego z jego pomnikowym „Młodym pokoleniem chłopów". Równoważniki minionego systemu społecznego — w dziedzinie organizacji życia i kultury znalazły się tutaj pod działaniem ostrej krytycznej analizy socjologicznej, która zarazem stanowi walną rozprawę polityczno-społeczną przeciwko „pańskości" pod jej współczesnymi zamaskowanymi formami. Chłop i jego sprawa —a w przedłużeniu sprawa narodu ogarniającego przede wszystkim i chłopów — to zaplecze myślowe wnikliwych rozważań Chałasińskiego.

Problematykę rozwiniętą przez Chałasińskiego w odniesieniu do inteligencji szlacheckiego pochodzenia próbował ostatnio J. A. Król zastosować do inteligencji chłopskiej względnie pochodzenia chłopskiego: sprawy te nie są jeszcze dość jasne.

O patrzeniu na Kilińskich i Głowackich wciąż jeszcze z okien szlacheckiego dworku zamieściłem nieco uwag w artykule pt. **„Insurekcja"** — z okazji wystawienia „Krakowiaków i Górali" w teatrze łódzkim.

Prof. Chałasiński zorganizował przy Polskim Instytucie Socjologicznym **Studium Problemów Chłopskich i Robotniczych**; w programie tego studium znalazły się i tematy z historii chłopów; doc. **B. Baranowski** prowadził wykład o ruchach społecznych chłopskich w XVII w., sam starałem się nakreślić linie syntetyczne dziejów chłopów w Polsce.

Ruch ludowy w Polsce został przedstawiony w 2 tomikach przez **T. Reka.** Jest to opracowanie jeszcze surowe, ale przynoszące sporo cennego materiału. Miałem okazję słyszeć fragment interesującego wykładu **St. Ignara** na jednym z kursów nauczycielskich na ten sam temat; obaj autorowie łączą z zainteresowaniem historyka własne doświadczenie polityczne.

Wiele należałoby się spodziewać w zakresie historii chłopów po miesięczniku **„Wieś i Państwo"** wydawanym przez **Bujaka, Pigonia, Inglota i Szczotkę,** a więc przez czterech historyków chłopskiego pochodzenia. Pismo to jednakże nie potrafiło wyjść z tradycyjnego toru piśmiennictwa historycznego polskiego. Główną pozycję stanowi w nim przyczynkarstwo, bez odnowienia postaw myślowych; skromny jest dział recenzji; nie stamtąd wyjdzie nowa koncepcja historyczna.

Pigoń ogłosił pamiętnik swego niezwykłego społecznie życia, pamiętnik drogi awansu społecznego chłopa: „Z Komborni w świat" — ale tam rewolucyjność, wieś i postawy chłopskie są ugłaskane, wprzęgnięte już w jarzmo kultury pańsko-narodowej, mówi się o sprawach „honoru" chłopa, którym ma on doścignąć inne stany — szczęśliwsze społecznie, wyższe. Jeszcze jedna droga do uszlachcenia chłopów! Ale wiele w tej książce doświadczeń bardzo ciekawych, a zmiany cywilizacyjne w Komborni w ciągu kilkudziesięciu ostatnich lat, zasługują na baczną uwagę historyków.

A teraz sprawa syntezy historycznej.

Państwowy Instytut Wydawniczy wypuścił drukiem nowe wydanie pomnikowej „Historii chłopów polskich" pióra **Al. Świętochowskiego.** Na razie tom I — przedrozbiorowy.

Reedycja taka ma swoją wymowę. „Historia chłopów" Świętochowskiego należy do epoki minionej i już należało o niej mówić w poprzedniej części tego szkicu. Właśnie z uwagi na jej nowe, powojenne wydanie i jego rolę — zachowałem tę pozycję do szpalt obecnych.

Autor przedmowy do nowego wydania, prof. U. W. **St. Arnold** tak m. in. charakteryzuje to dzieło: „...stosunek Świętochowskiego do problemu chłopskiego ma wiele cech epoki, kiedy kształtował się światopogląd autora, jego nastawienie w stosunku do zjawisk społecznych. Jak wiadomo, Świętochowski był związany ściśle z epoką pozytywizmu i liberalizmu; stąd też w jego ujęciu nie spotykamy momentów, któreby nas dzisiaj interesowały, nie spotykamy przede wszystkim należytego oświetlenia zagadnień gospodarczych w poszczególnych epokach, zmian zachodzących w rozwoju historycznym w stosunkach włościańskich w związku z ogólnymi przemianami gospodarczymi, co w szczególności daje się zauważyć przy omawianiu przez autora w. XVII i XVIII. **Stosunek Świętochowskiego do chłopów jest stosunkiem przedstawiciela warstwy szlacheckiej do niższej klasy społecznej,** która uległa emancypacji i która zajęła nową pozycję w społeczeństwie polskim. **Jest to stosunek raczej przedstawiciela liberalizmu niż przedstawiciela demokracji".**

Oto słuszna niewątpliwie ocena dzieła, które w warunkach społecznych w jakich doszło do jego obecnej reedycji, nabiera charakteru reprezentacyjnego. **Bywają takie nieporozumienia społeczne.** Dzieło Świętochowskiego okupuje je wielkością ducha swego autora.

To nie jest wprawdzie dzieło historyka, historyka zawodowego, ale musiało ono zastąpić syntezę historyczną godną tego imienia i rolę tę na swój sposób spełniło zupełnie dobrze. Była to w dwudziestych i trzydziestych latach naszego stulecia wielka opowieść o chłopie, gorzka i pasjonująca, opowieść którą musiał czytać wychowanek kultury szlacheckiej — inteligent miejski, opowieść w którą wczytywała się żarliwie wieś chłopska. Mimo trafnych zastrzeżeń St. Arnolda, „Historia chłopów" Świętochowskiego była wielkim czynem politycznym, głosem odwagi społecznej, wołaniem — wprawdzie tylko humanitarysty, ale wołania takie znajdują czasem odzew w pogłosach rewolucji.

Wystarczy zestawić te dwie „Historie" pisane nie przez historyków, „Historię włościan" — małego polityka reakcyjnego, Marylskiego i „Historię chłopów" — wielkiego społecznika Świętochowskiego. Olbrzym i karzeł! „Apostoł prawdy" — jak miał odwagę sam siebie nazwać — i historyk z przerażenia, historyk - palestrant, próbujący przed trybunałem dziejów wytargować, wybronić te ostatki pańskiego ustroju, w których jeszcze ciągle „włościanin" utrzymany był na dalekiej więzi socjalnej z dala od „demokratycznego" już formalnie dworu.

„Historia chłopów" Świętochowskiego uderzała całym patosem i pasją oburzenia w ten święty bezruch socjalnej krzywdy — od tej strony, gdzie współcześnie kombinowano właśnie możliwość narodowej zgody — od strony historii.

„Historia chłopów"! — ile śmiałości było już w tej nazwie! Chłopi! Imię pełne wzgardy, imię w którym skondensowane były ich całe złe dzieje, imię, którego oni sami nie bali się uznać za godne dumy — to imię wchodziło wreszcie na karty historii; o nich opowiadała wielka księga cierpień i nienawiści, o nich opowiadał ten, którego słowom nie można było nie wierzyć.

Dzisiaj znajdujemy się już daleko za pozycjami ustrojowymi tymi, którym towarzyszyło dzieło Świętochowskiego. Ale nawyki myślowe niełatwo ustępują nowym sytuacjom. Nawet bardzo radykalni krytycy szlachetczyzny nie potrafią wyplątać się z pozycji myślowych zwalczanej przez siebie szlachetczyzny i posługują się — bezwiednie — tym samym ciągle jeszcze językiem.

Chociażby i prof. St. Arnold, którego już powyżej zacytowałem. Ten doskonały znawca dziejów społecznych i wytrawny krytyk historiografii polskiej, polemizując w słowie wstępnym do nowego wydania dzieła Świętochowskiego z poglądami szlacheckimi jej autora, tak pisze: „Wszystkie bez wyjątku momenty występujące w związku ze sprawą włościaństwa w XIX w. wskazują na to, że szlachta polska nie zrozumiała roli, jaką spełniała i spełniać była powinna w stosunku do włościaństwa i w chwilach najważniejszych nie potrafiła wznieść się nigdy ponad własne egoizmy stanowe i osobiste".

Jaką to rolę powinna była spełniać szlachta w stosunku do włościaństwa — zdumieni zapytujemy samych siebie — patrymonialną rolę przewodnictwa, ku czemu? Ku reformom przeciwko niej samej? Co właściwie oznacza zarzut egoizmu — stanowego i osobistego, kiedy przedmiotem naszych zainteresowań są sprawy u s t r o j u s p o ł e c z n e g o !

Od strony ustroju, od strony społecznej struktury państwa starałem się przedstawić dzieje chłopów w Polsce w książce z serii prac Polskiego Instytutu Socjologicznego (Studium Problemów Chłopskich i Robotniczych). Ten nowy punkt widzenia przyniósł nowe rezultaty naukowe. Nie ma miejsca tutaj na autoreferat z tej pracy, wystarczy wspomnieć, że napisana została ona dlatego, ponieważ wiele tradycyjnych rozwiązań historiografii naszej w sprawie chłopów wymaga jeszcze rewizji naukowej; zamiarem moim m. in. było sprowokować dyskusję na tematy o zwornikowym dla historii chłopów znaczeniu.

Syntetyczną i organizacyjną w stosunku do całego materiału dziejowego rolę spełnia w tym przedmiocie oczywiście jego podział na okresy dziejowe: okres tworzenia się państwa szlacheckiego w ogóle, okres tworzenia się stanu chłopskiego i kształtowania się niewoli chłopskiej jako podstawowej instytucji tego ustroju — potem okres pełnej niewoli chłopskiej — i wreszcie okres rozkładu niewoli chłopskiej — to podział wynikający z określonych założeń myślowych i z analizy materiału historycznego przy zastosowaniu kryteriów, odpowiadających społecznemu charakterowi zagadnień, które stanowią przedmiot tej książki.

Stanisław Śreniowski

Michał Krasocki

MIASTA BĘDĄ CHŁOPSKIE

Reforma rolna została w zasadzie zakończona. Nie ma wolnej ziemi dla chłopa. Pewne niezbędne jeszcze korektywy w zakresie struktury rolnej nie mogą już zwiększyć chłonności ludnościowej wsi. Można nawet spodziewać się procesu odwrotnego: w miarę racjonalizacji metod pracy i większego niż dotychczas wykorzystania pracy maszyn, chłonność ta zmaleje, aczkolwiek w nieznacznym stopniu i w bardzo powolnym tempie. Wyrazem tego poglądu są przewidywane przez Narodowy Plan Gospodarczy liczby, ilustrujące kształtowanie się podaży i popytu na ludzką siłę roboczą. W odniesieniu do rolnictwa, liczby te wynoszą:

r. 1946 — 6.905 tys. ludzi zawodowo czynnych
„ 1947 — 6.845 „ „ „ „
„ 1948 — 6.765 „ „ „ „
„ 1949 — 6.665 „ „ „ „

Przy najbardziej optymistycznej ocenie możliwości zatrudnienia w rolnictwie sytuację można określić następująco: wieś jako warsztat pracy w rolnictwie jest nasycona w zupełności ludzką siłą roboczą i dalszy wzrost jej chłonności jest niemożliwy. **Chłopi będą stanowić warstwę ludności o stałej wielkości liczebnej.** Ponieważ ludność kraju będzie wzrastać, przeto odsetek chłopów w stosunku do ogółu zaludnienia musi w przyszłości stale zmniejszać się.

W związku z tym wysuwa się drugi wniosek: cały przyrost naturalny wsi musi znaleźć utrzymanie w zawodach pozarolniczych na równi z przyrostem pozostałych grup ludnościowych. Słowem, cała nadwyżka urodzin nad zgonami w Polsce wyłączona jest z pracy na roli.

Przed rokiem 1915 emigracja z ziem polskich (w granicach z r. 1939) osiągała liczbę 500—600 tysięcy ludzi rocznie do krajów Europy i około 200 tysięcy do krajów zamorskich, łącznie wahała się zatem około liczby 3/4 miliona osób.

Wynosiło to więcej, niż największe zarejestrowane bezrobocie w Polsce. Emigracja do krajów Europy była prawie wyłącznie sezonowo-rolna. Emigracja zamorska, jakkolwiek tylko w drobnej części była emigracją osadniczą rolną, a w większości kierowała się do pracy typu miejsko-przemysłowego, to jednak przeważał w niej również element wiejski, chłopski.

Jeszcze jeden szczegół: emigracja przekazywała do kraju kwotę dochodzącą do pół miliarda złotych w złocie rocznie. Te dwa czynniki: ubytek nadwyżki ludności i stały dopływ gotówki kształtowały stosunki ludnościowe i gospodarcze wsi polskiej. Byliśmy krajem emigracyjnym w pełnym znaczeniu tego słowa.

Wieś istniała, wieś żyła — dzięki emigracji, udział w emigracji innych warstw ludności polskiej, a w szczególności inteligencji był nieproporcjonalnie nikły. Wówczas, na długo przed pierwszą wojną światową, wyłonił się szereg rozległych planów i doktryn, idących w kierunku gruntownej przebudowy struktury społecznej i gospodarczej kraju i opartych na możliwościach, jakie mogła dać emigracja.

Ten „emigracyjny światopogląd" na najważniejsze zagadnienia ustrojowe wsi, jak kwestia przeludnienia, struktury rolnej itd. przetrwał u nas prawie do roku 1939, pomimo że już wkrótce po pierwszej wojnie światowej stosunki w zakresie spraw migracyjnych uległy przeobrażeniu. Przede wszystkim, czasy liberalizmu emigracyjnego i niczym niemal nie krępowanie wolności emigracji i imigracji przeszły do archiwum wspomnień. Racjonalizacja i coraz dalej postępująca mechanizacja produkcji w krajach imigracyjnych, wywołana niespotykanym w dziejach natężeniem produkcji w latach wojennych, spowodowała gruntowną zmianę stosunków zarobkowych w tych krajach, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych A. P. Stopniowo zamykają dla imigrantów swe wrota wszystkie kraje o klimacie, nadającym się dla Polaków. W konsekwencji możliwości wyjazdu istnieją tylko dla drobnych ilościowo grupek rzemieślników i kupców, oraz dla osadników rolnych, posiadających pewien kapitał (od 1000 dolarów wzwyż). Ta ostatnia kategoria nie mogła być jednak liczna.

W krajach Europy sytuacja była nieco lepsza dla człowieka wsi, chociaż i tu koniuktury były bardzo ograniczone. Dominującym typem stało się wychodźctwo sezonowe rolne, które np. w roku 1938 liczyło około 80.000 ludzi.

W sumie, emigracja z Polski spadła do 1/7 liczby emigrantów sprzed roku 1914. Oczywiście, *nie należy przypuszczać, że na krajowym* rynku pracy zarysowała się tak znaczna poprawa, że emigracja stała się mało atrakcyjna.

Z wyjątkiem lat 1928/29 w kraju istniało stałe bezrobocie, które w r. 1934 doszło do 1,050.000 ludzi bezrobotnych w miastach, nie licząc całkowitego lub częściowego bezrobocia na wsi. Wraz z osobami biernymi zawodowo, liczba ludności miejskiej pozbawionej podstaw egzystencji, wynosiła okrągło 2 miliony osób.

Miasta w dziesięcioleciu 1921—1931 zaabsorbowały 1,285.000 ludności wiejskiej. Rzeczywisty przyrost naturalny ludności wiejskiej wyniósł w tymże okresie 4,147.000, a więc 21,5%, podczas gdy ludność miejska wzrosła wskutek przyrostu naturalnego tylko o 796.000 t. j. o 12%.

Wskutek tego, na wsi występowało rozdrabnianie gospodarstw i narastanie bezrolnego i małorolnego proletariatu, który w trudnej walce o byt szukał wszelkich możliwych dróg ucieczki z ghetta wiejskiego. Ponieważ jednak miasta straciły swą dawną chłonność, przeto stały się one polem coraz bardziej zaciętej walki o pracę między wsią a miastem.

W walce o chleb między wsią a miastem nie cała ludność wsi brała udział. W okresie dostępnym dla badań statystycznych, a więc między 1921 a 1931 rokiem (w latach tych odbyły się spisy ludności), przyrost ludności miejskiej wynosił 4,147.000 głów. Przyrost ten został rozlokowany w ciągu wspomnianego dziesięciolecia przeważnie w następujący sposób:

1) miasta wchłonęły per saldo 1,285.000 osób,

2) powstało 119.000 gospodarstw samodzielnych, które dostarczyły utrzymania dla 595.000 osób,

3) powiększono obszar 360.000 gospodarstw chłopskich, co odpowiada mniej więcej stworzeniu możliwości istnienia dla takiejże ilości ludzi,

4) pracę i zarobek na emigracji czasowej i stałej znalazło 700.000 osób, przyczym około 450.000 ludności wiejskiej pozostało za granicą.

Łącznie wszystkie kierunki odpływu lub lokaty ludności wiejskiej zaabsorbowały stale lub częściowo w przybliżeniu około 3,600.000 osób. Ostatecznie, około 550.000 osób nie znalazło zatrudnienia, powiększając wiejską rezerwową armię pracy. Następny okres od końca 1931 roku do września 1939 jeszcze głębiej pogorszył sytuację wsi.

Prace nad reformą rolną, będące ważkim czynnikiem odciążania wsi, uległy poważnej redukcji, zwęziła się pojemność miejskieg rynku pracy, oraz ograniczona została możność zarobkowania wewnątrz wsi w niedających się określić bliżej rozmiarach. Nieopłacalność produkcji zmusiła większe i mniejsze warsztaty rolne do zredukowania pracowników najemnych. Przede wszystkim jednak, saldo ruchu emigracyjnego stało się ujemne. W tym stanie rzeczy zastała wieś polską druga wojna światowa. Z okresu międzywojennego można wysnuć jeden poważny wniosek. Kurczenie się możliwości migracyjnych wskazywało wyraźnie na to, że rozwiązanie sprawy bezrobocia i naprawy ustroju rolnego nie można było szukać poza granicami kraju.

Rok 1945 spowodował szereg zmian, zbyt dobrze wszystkim znanych, aby trzeba było je w tym ustroju wymieniać. Załóżmy, że repatriacja została zakończona. Mniejszości narodowych nie ma. Osadnictwo na Ziemiach Odzyskanych — zakończone. Miasta Polski zachodniej będą mogły stopniowo wchłonąć jeszcze 2 miliony ludności w drodze powolnej, stopniowej urbanizacji. Wieś będzie zamknięta i nie przyjmie już ani jednego człowieka. Ca*ły przyrost ludności musi znaleźć pracę w za*wodach nierolniczych. Będziemy mieli państwo o obszarze 311.000 km kw. i ludności około 22 i 1/4 milionów, ludności wyłącznie polskiej. Gęstość zaludnienia będzie wynosiła 70—72 osób na 1 km kw.

Tymczasem, ziemie wchodzące obecnie w skład Rzeczypospolitej liczyły ostatnio przed wojną okoł 32 i 1/2 miliona ludności, co odpowiada gęstości zaludnienia około 105 osób na 1 km kw. Mamy zatem zapas wolnych miejsc na 10 milionów ludzi. Gdyby przyjąć, iż stopa przyrostu nie będzie bardzo odległa od przedwojennej, można przewidywać, że za 26 do 30 lat gęstość ta będzie osiągnięta. Do tego czasu emigracja nie miałaby żadnego uzasadnienia, nie mówiąc już o tym, że możliwości emigracyjne praktycznie są znikome.

Opierając się na przedwojennej stopie przyrostu ludności w miastach (12%) i na wsi (21,5%) można ustalić, że w ciągu 10 lat ludność miast wzrośnie o 767,5 tysięcy, zaś na wsi — o 3.036,8 tysięcy. W okrągłych liczbach udział miast w ogólnym przyroście ludności wyniesie około 20% zaś na wsi 80%. W stosunku do podanej wyżej liczby 10 milionów ludności, wieś da zatem do pracy w mieście 8 milionów w ciągu około 30 lat. Jeśli przyrost okaże się mniejszy, liczba 8 milionów będzie rozłożona na dłuższy okres, wynoszący nie 26 czy 30, a być może 40 lub nawet 50 lat. Rocznie zatem wieś będzie dawać do pracy w zawodach nierolniczych około 300 do 160 tysięcy ludzi.

Nasuwa się pytanie, jakie wieś powinna postawić miastu: czy może ono zatrudnić taką liczbę ludzi?

Na razie odpowiedź na to pytanie daje narodowy plan gospodarczy (tablica 53). Według tych danych przewiduje się następujący wzrost popytu na ludzką siłę roboczą w porównaniu z rokiem 1946 w zawodach nierolniczych:

w roku 1947 o 97 tysięcy
„ „ 1948 „ 369 „
„ „ 1949 „ 664 „

O ile zatem przewidywania planu są ścisłe i słuszne, to lokata nadwyżki ludnościowej wsi byłaby zapewniona na okres objęty planem

Na wstępie niniejszego artykułu zostało przyjęte założenie, że wieś, a ściślej mówiąc rolnictwo, jest całkowicie nasycone elementem ludzkim i że nie może być mowy o jakimkolwiek zwiększeniu jej chłonności. Założenie to byłoby świadomie jednostronne.

Przy obecnej liczbie 14 milionów ludności wiejskiej, wieś może nadal wegetować na stopie życiowej, nawet wyższej niż przed wojną. Istnieje jednak nadal pewna liczba chłopskiej ludności zbędnej, która z tych czy innych względów trzyma się wsi. Dalsza racjonalizacja struktury rolnej i ulepszenie metod pracy może z łatwością wyeliminować jeszcze dwa do trzech milionów ludzi.

Pamiętajmy: W pokoleniu, które nadejdzie do miast polskich będzie 80% chłopów — miasta będą chłopskie, jak chłopską jest Polska.

Teodor Goździkiewicz

RUSZNICA KRÓLEWSKA

Fragment sztuki nagrodzonej I-szą nagrodą na konkursie „Wsi"

ODSŁONA II. SCENA VII.

BĄK — BĄKOWA — DZIADEK
RODZINA — RZĄDCA

BĄKOWA: Wróciliście?

BĄK: Już jesteście dziadku? Byliście we dworze?

DZIADEK: Byłem...

BĄK: Macie strzelbę?

DZIADEK: Nie...

BĄK: A co wam powiedziałem?

DZIADEK: Nie dali mi...

BĄK: A z kim mówiliście?

DZIADEK: Z dziedzicym...

BĄK: I co wam powiedział?

DZIADEK: Powiedział, że nie da, bo ją dostoł za wykupne...

BĄK: Aha — nie głupi? I co wam strzeliło do głowy! Co wam na mózg padło? Tak się rozrządzić! Tak sobie łatwo łapu-capu! Nie!...

BĄKOWA: Dałbyś już spokój raz z tym. Nie tyle ci chodzi o strzelbę, ile o to, żebyś mógł ojcu nadokuczać.

BĄK: Dużo mi z tego przyjdzie, jak im nadokuczam. O strzelbę mi idzie... I co teraz zrobić? Przecie ja mu nie daruję...

BĄKOWA: Poco masz darowywać?

BĄK: A co zrobię?

BĄKOWA: Co zrobię?... — Niech ci da za konie strzelbę i już.

BĄK: Wiesz... ty masz rację! Tak się zrobi... Rozmawialiście z dziedzicem?

DZIADEK: Mówiłym.

BĄK: Coście mu powiedzieli?

DZIADEK: Zeby oddoł strzelbe... ze ty mnie klnies... ze mnie wygnołeś z dómu...

BĄK: O to pierwsze... Zaraz sobie dziedzic pomyśli: w szkole był, a jaki to dla rodzonego teścia... To wam się udało.. To macie politykę...

DZIADEK: No tak mówiyłym, jak było...

BĄK: Dobrze, dobrze... Co wam powiedział?

DZIADEK: Mówiył, ze ón mo jedną tylko gębe i jedno słowo... Strzelby nie do, bo ją dostoł za swoją skode...

BĄK: No tak — ma rację... Byłby głupi, gdyby inaczej zrobił. To że była nie wasza i że nie mieliście prawa krów wykupywać, to dla niego głupstwo... Pewnie, co mu to szkodzi?... Po diabła-ście to zrobili?

DZIADEK: Nie po diabła. Chciołym krowy wykupić... A ta strzelba — wisiała tylko i ón się ji tak naparł...

BĄK: Teraz macie — bzika... Trza wam było się nie śpieszyć.

BĄKOWA: Zebyś jeszcze bardziej na nich wrykał... No — byłoby to dopiero było!...

WŁADEK: A dziedzic dziadkowi dał papierosa!

JANEK: Nie prawda, bo dwóch!

WŁADEK: A nie prawda, bo trzech!

ZOSIA: Dalej smarkate! Nie wtrącajcie się do rozmowy! Nikt was się o to nie pyta!

JANEK: Tyś sama smarkata!

ZOSIA: Mamo, Janek dokazuje!...

WŁADEK: Mamo, mamo — on jej nic nie mówi!...

(Rządca dochodzi do furtki, patrzy chwilę po podwórku, wchodzi do środka).

RZĄDCA: Bąku, mam do was pewną sprawę.

BĄK: Jestem.

RZĄDCA: Macie cugowe konie zajęte?

BĄK: Mam. Są.

RZĄDCA: Proszę konie wypuścić i określić wysokość straty pieniężnej. Jutro wypłacę po południu w kancelarii podwórzowej... Oczywiście, że w wysokości naszych sąsiedzkich rozrachunków...

BĄK: Ja chciałem powiedzieć...

RZĄDCA: ...orientujecie się chyba, że nie ma najmniejszego sensu wodzić tutaj w błahej sprawie zajęcia dwu koni tyle ludzi...

BĄK: Jest taka rzecz: widzi pan...

RZĄDCA: ...nie wiem, skąd wam się wziął pomysł ściągnięcia tutaj samego dziedzica. To niepodobne do wiary. Fakt, że wyście musieli sami chodzić po swój inwentarz do dworu, nie powinien was naprowadzać na myśl stosowania jakichś rewanżów. Byłaby to nieuzasadniona megalomania. Rzecz sama w sobie niebywała...

BĄK: Ja jednak uważam...

RZĄDCA: ...tak samo również absurdalnie wygląda kwestia owej rusznicy. Najpierw wydajecie z domu, potem odbieracie — niesłychana praktyka. Jak małe dzieci... Skąd wam się — doprawdy — takie pomysły rodzą...

BĄK: Chciałbym wyjaśnić...

RZĄDCA: Czekam więc na te konie. Nie przyszedłem tu na pogawędki. Chodzi o pośpiech. Zwróćcie uwagę, że już ja tu nie jestem potrzebny...

BĄK: Ja koni nie wypuszczę.

RZĄDCA: Dlaczego?

BĄK: Bo to konie nie pana.

RZĄDCA: Więc znowu to samo powtarzacie?

BĄK: To samo. Sprawa jest ta sama.

RZĄDCA: Człowieku — wy swoim uporem naprawdę co wywojujecie. Skończy się na tym, że pójdziemy do sądu. A to — zdaje się — jest zbyteczne.

BĄK: Ja się sądu nie boję...

RZĄDCA: Albo jeszcze prościej sprawę zakończymy...

BĄK: No, jak?

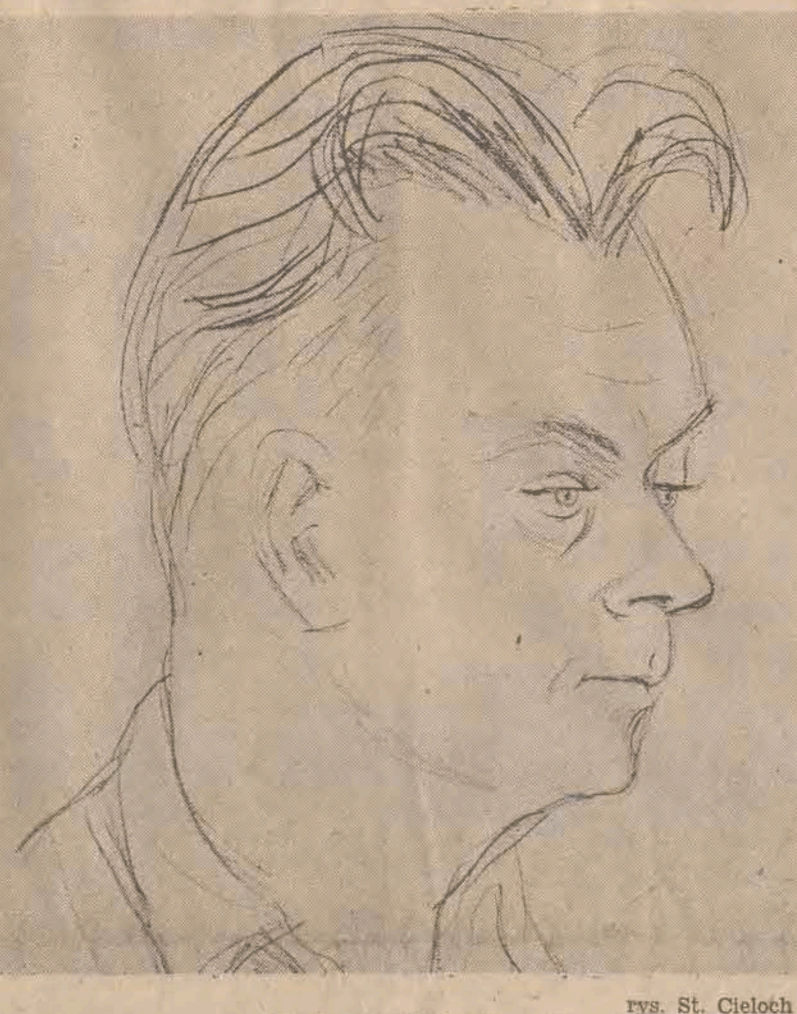
RZĄDCA: Po prostu wezmę paru dworaków i odbierzemy konie siłą.

BĄK: Niech pan spróbuje... Proszę.

RZĄDCA: Tak zrobię — przekonacie się.

BĄK: Nie boję się. Będzie, co ma być. Najlepiej niech pan idzie do dziedzica i powie mu, że tylko jemu konie wypuszczę.

RZĄDCA: To wasze ostatnie słowo?



rys. St. Cieloch

Teodor Goździkiewicz

BĄK: Nie. Niech pan powie jeszcze dziedzicowi, że za nic innego koni nie wypuszczę, tylko muszę dostać za nie tę samą strzelbę, którą ojciec zaniósł za moje krowy... Tylko za to!

(Rządca macha ręką i odchodzi).

SCENA VIII

BĄK — BĄKOWA — DZIADEK —
DZIECI — DZIEDZIC

BĄKOWA: Idź ty — dosyć tego. Uparłeś się i tu po powórkach niepotrzebnie się tylu ludzi pląta. Jeszcze nie wiadomo, jeszcze nie wiesz, jak wypadnie. Może się tak zdarzy, że jeszcze i naszego co wlezie w szkodę i wtedy co?

BĄK: Niech wpadnie. Niech cię o to głowa nie boli. Będę się potem martwił.

BĄKOWA: I wtedy co — znowu musisz iść.

BĄK: To pójdę. Ale dzisiaj muszę się zemścić. „Zemsta jest zbyt słodka, ażebym się jej miał wyrzec". Niech przyjdą do mnie, jak ja tyle razy chodziłem...

DZIADEK: Zawdy z nimi lepi nie zadziyrać... — Co pan to pan. On ta wszędzie sprawiedliwość znajdzie...

BĄK: Dziadku, was się nikt o zdanie nie pyta... Siedźcie i czekajcie na obiad. Już z drugą strzelbą do dworu nie pójdziecie, bo takiej drugiej nie ma.

BĄKOWA: Ojca znowu tak nie prześladuj: Zrobili, jak mogli i jak uważali, że dobrze. Czy oni wiedzieli, że tak będziesz o tę strzelbę stojał? Wisiała na strychu tyle lat, to kto mógł wiedzieć, że to na co będzie potrzebne? Wisiała i wisiała, aż ktoś ją wyciągnął...

BĄK: Kto tę strzelbę wyciągnął z góry?

WŁADEK: A Janek.

JANEK: Dziadek mi kazali, żebyśmy się bawili w polowanie...

BĄK: Znowu dziadek. Wszystko dziadek. Gdzie co, to dziadek. A ty znowu będziesz narzekała, że ci ojca prześladuję.

BĄKOWA: Pewnie. Uwziąłeś się na nich i jak tylko co, to zaraz na dziadka. A to przecież chłopaki winni, bo jakby nie ściągli to by nic nie było. No, ale ty ich nie przykarcisz, tylko sobie co chcą, to robią. Tacy są, jak ich chowasz. Paska nigdy nie widzą...

BĄK: Paska... Ty tylko myślisz o pasku. Dziadek jest starszy, to powinien mieć rozum za nich wszystkich, jak się zostanie z nimi w domu.

BĄKOWA: Według mnie jednak powinieneś się tak nie upierać. Między sąsiadami to różnie bywa. Zajmą ci też i twoje — nieraz jeszcze.

BĄK: Ty znowu swoje. A tyle razy ci już przecie mówiłem! Ach, z tymi kobietami!...

WŁADEK: Tatusiu, nie wypuszczaj koni. Niech będą nasze. Takie ładne!... Jeden będzie mój, a drugi Janka!... Będziemy sobie jeździli!... Będą tak prędko jeździły! drogą, przez pola, po boru... Tak prędko! Bo nasz kasztan, to tylko tak łazi... Nie tatusiu?

JANEK: Ty głupi!... To konie nie nasze. We dworze ich nie sprzedadzą... I tak je musimy oddać i tak.

WŁADEK: A sprzedadzą!

JANEK: A nie

BĄKOWA: Tyś nieraz był taki uparty i źle na tym wychodzisz. Miło ci pewnie będzie, jak tu przylezie z dziesięciu dworusów i musisz się z nimi chlać, co?

BĄK: Pewnie, że nie miło.

BĄKOWA: No to widzisz. A uparłeś się i ciągniesz do swojego. I jeszcze żeby o co, o strzelbę — stary zardzewiały klekot.

BĄK: (z pewnym zamyśleniem). Stary, zardzewiały — ... klekot... Widzisz, czy ty wiesz, że tę strzelbę miał w ręce jakiś tam mój przodek. Że on nią wojował? Jakieś dwieście pięćdziesiąt lat temu? Był wtedy żołnierzem i bił się za kraj? Nie tak, jak my dzisiaj o miedzę, ale o własny kraj z obcym, co tu przyszedł i chciał wszystko zagrabić... On już coś musiał z tego wiedzieć, coś rozumieć, ale co? Żebym to wiedział, żebym to gdzieś wyczytał: co, co on myślał, jak szedł wtedy na tę wojnę... A był na prawdę, to nie jakaś tam bajka... Ojciec mi mój mówili, a im znowu dziadek... Że ich pradziadek wojował...

BĄKOWA: Nigdy mi tego nie mówiłeś...

BĄK: Boś mi się nie pytała...

BĄKOWA: Nigdy mi tego nie mówiłeś, po co to wisi. A wisiała na tej górze i wisiała ta strzelba. Rdzewiała tylko i to wszystko. A teraz masz pretensję do dziadka. Dziadek też tyle wiedział, co i ja.

JANEK: Tatusiu, a kiedy była wojna?

BĄK: Dawno.

BĄK: A wy pamiętacie?

BĄK: Nie, nie pamiętam.

WŁADEK: A dziadek pamięta?

BĄK: Nie. I dziadek nie pamięta.

JANEK: Jeszcze przed dziadkiem!

BĄK: Ooo, dawno przed dziadkiem!

WŁADEK: I wtedy strzelali?

BĄK: Strzelali.

WŁADEK: Naprawdę, tatusiu, strzelali?

BĄK: Naprawdę.

WŁADEK: Kulkami?

BĄK: Tak, kulkami. Prawdziwymi.

JANEK: A jak myślisz, że tak jak dzisiaj: z gęby? Strzelali naprawdę prochem i kulkami.

ZOSIA: Dziedzic!

(W furtce staje dziedzic, z rusznicą. Wzburzony. Idzie ku Bąkowi).

DZIEDZIC: Bąk!

BĄK: Jestem... (wstaje machinalnie, jak gdyby chciał zagrodzić drogę w głąb podwórka dziedzicowi).

DZIEDZIC: Konie masz moje?

BĄK: Mam.

DZIEDZIC: Zajęte?

BĄK: Tak, zajęte.

DZIEDZIC: Był po nie polowy?

BĄK: Był.

DZIEDZIC: Był pisarz?

BĄK: Był.

DZIEDZIC: Był rządca?

BĄK: Był.

DZIEDZIC: Tyś chciał koniecznie, żebym ja przyszedł?

BĄK: Tak.

DZIEDZIC: I żebym ci zapłacił tą rusznicą?

BĄK: Tak!

(Dziedzic podnosi strzelbę wyżej, stopniowo też rośnie jego głos — prawdziwe crescendo rozmowy. Ostatnie słowo dziedzica jest dyszkantem pasji).

DZIEDZIC: A więc masz!! (strzela w samą pierś Bąka).

BĄK: (słania się chwilę na nogach) Co?... co?... co?... (pada).

DZIEDZIC: Masz!!

(Unosi ku górze rusznicę i rzuca ją na ciało leżącego Bąka).

Jadwiga Limba

D R O G A

Droga przez wieś jest kręta, wąska i kamienista,
snuje się między polem, jak wśród skib szara glista.
Jest pełna kurzu, błota, zależnie od pór roku,
wiatry zmiatają kurze — deszcz zmywa ślady kroków!
Wciąż ją miażdżą naprzemian: koła, buty, kopyta — — —
— — na tej drodze się żegna — na tej drodze się wita!...
W zimie pełna zasp śnieżnych — jesienią zdradnych kałuż —
(szczęśliwy biegnie wartko — smutny idzie pomału!)
W przykopie rośnie oset, dziadowskie wszy i łopian,
w tych chwastach śpiewa często pijana dola chłopia!...
Nad drogą stoją wierzby, jawory i jesiony —
a brzozy płaczą za kimś — kto odszedł w obce strony!
Ścieżki dróg nie słuchają, smarkate swawolnice — —
„po co nam stara droga? — Stwórzmy nową ulicę!!"
Potok skacze junaczo, niesforny, górski bękart,
urąga starej drodze, że przed figurą klęka!...
A we figurze Chrystus góralski „frasobliwy"
nad wiejską dolą duma — do wiejskiej drogi przywykł — — —
Czasem droga jest cicha — czasem cała w tętnach,
Wiedzie na ślubne gody — na modrzewiowy cmentarz..
Tętni śpiewką weselną — płacze jękiem sierocym — — —
Tą drogą Radość — Smutek, ku wiejskim chatom kroczy!...
Czasem pełna hałasów — wojowniczych turkotów;
„do złych — okrutnych rzeczy, cicha wiosko się gotuj!!!"
Daleki więzień marzy: „och, szedłbym nią na klęczkach,
i krzyżem padłbym zaraz, przy pierwszych naskich łączkach...

Trzebinia, 1944.

W ostatnim 33 (112) numerze „Wsi" z dnia 24 sierpnia 1947 roku:

Stanisław Śreniowski — Historiografia polska a dzieje chłopów. **Juliusz Nowak-Dłużewski** — Muzeum Świętokrzyskie i Biblioteka Wojewódzka w Kielcach. **Jan Baranowicz** — Wiersze śląskie. **Marianna Kościńska** — Na Wydarty. **Tadeusz Orlewicz** — Bułgarskie aktualia rolnicze. **Wiktor Woroszylski** — Przedstawienie „Burzy" Szekspira w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi. **Franciszek Kotula** — Przydrożna sztuka. Fragmenty z taśmy Polskiej Kroniki Filmowej Nr 30. 9 ilustracji.

Andrzej Skupień – Florek

Biały Dunajec w czasie wojny *)

(dokończenie)

TUŻ PRZED WYBUCHEM WOJNY.

Nastrój ludności wobec nadciągających wieści na temat wojny, jaka wisiała nad Europą, był dość optymistyczny. Sądzono, że Niemcy, jeżeli uderzą na nas, czy gdzie indziej, to wojna długo nie potrwa, no i że Niemcy przegrają. Tłumaczono to tym, że nasz naród jest bohaterski, że mamy świetne wojsko oraz obiecaną pomoc Francji, Anglii i Ameryki, no i że Rosja na pewno nam też pomoże; że po tamtej wojnie światowej, mimo że Polska nie istniała, wyszła z wojny zwycięsko, a obecnie jesteśmy przecież o całe niebo w lepszym położeniu i inne podobne rzeczy opowiadano, stawiając same dodatnie horoskopy.

Były wieści, które potwierdzała na odcinku granicznym bezczynność odpowiedzialnych czynników wojskowych, że władze wojskowe polskie postanowiły Niemców wpuścić bez oporu w dolinę Nowotarską, ażeby ich w tym kotle sprać, prażąc ich ze wszystkich stron górzystego terenu. Nie wiadomo czy istniał taki plan, czy też to była celowa propaganda. Bądź co bądź, nas to trochę niepokoiło, wszak groziło to kompletną ruiną.

Mimo wszystko duch bojowy wśród ludności panował wielki. Na tydzień przed wybuchem wojny ogłoszono zarządzenie o mobilizacji mężczyzn, a kilku mężczyzn otrzymało imienne powołania do wojska — poza tym nic. Nareszcie z brzaskiem dnia 1 września 1939 r. słyszeliśmy już wybuchy i odgłosy armatnich strzałów od strony zachodniej. Na pierwszy rzut sądzono, że to polska artyleria ćwiczy. Nagle od strony Poronina nadlatuje samolot, lecąc tuż ponad same wierzchołki drzew. Był to samolot niemiecki. W lot też zrozumiano, że mamy już wojnę. Niebawem nadciąga drogą korowód pojazdów samochodowych i dorożek konnych wiozących uciekających z Zakopanego gości letników, panów, urzędników, a nawet i miejscową ludność z wiosek z pod samego podtatrza, to znowu placówki graniczne i policję. Zapytywani przez tutejszą ludność, informują, że Niemcy już są w Białej Wodzie — potem w Chochołowie itd. Powstaje i u nas pytanie: co robić? — Mężczyźni uważają, że trzeba iść za wojskiem i zgłosić się do służby — wszak Ojczyzna w potrzebie — każdy się przydać może. Więc idą gromadnie wojskowi i nie wojskowi. W domu zostają same kobiety, dzieci i starcy, ale i tych ogarnia niepokój, gdyż uciekający opowiadają takie nowiny, że „Niemcy mordują młodzież", więc i ci uchodzą i szukają schronienia w okolicznych lasach, aby przetrwać chwile przemarszu wojsk niemieckich w tę odwrotną stronę, bowiem niesie się ogólnie wieść, że „za kilka dni Niemcy będą z powrotem uciekać". Po południu wjeżdżają na motocyklach pierwsze patrole niemieckie, a później wojska słowackie na ciężarowych samochodach przejeżdżają tam i z powrotem. My zostaliśmy okrążeni, bowiem wojska niemieckie wdarły się do Polski na teren Podhala od dwu stron: ze Słowacji, od wschodu przez Białkę i Pieniny, od zachodu przez Czarny Dunajec, kierując oba fronty na Nowy Targ, a stąd połączeni parli na północ. Tym sposobem już w pierwszym dniu wojny zostaliśmy z całym Podhalem odcięci od reszty Polski.

Następnych dni zaczęli się pojawiać grupowo żołnierze niemieccy we wsi odwiedzając sklepy, a znajdujące się w nich masło zabierali i w żarłoczny sposób jedli. Dziwowali się przy tym, że u nas tyle tego masła jest. Ci sami żołnierze rozlepiali pierwsze afisze niemieckie z ogłoszeniem, że „na rozkaz Führera wojska wkroczyły do waszego kraju, celem uwolnienia was spod jarzma rządzącej kliki" itd. Przez okres 3-ch tygodni, tak w całej gminie Poronin, jak i w gromadach nie było żadnej władzy. Wójt z całym personelem wyjechał w dniu 1-go września uwożąc wszelkie akta, sołtysi niektórzy też pouchodzili w głąb kraju, inni siedzieli zestrachani w domu. Tymczasem zawiązał się w Poroninie gminny komitet niesienia pomocy biednym i osieroconym rodzinom z ks. kanonikiem Jakubem Możdżeniem na czele. Znajdujące się w Poroninie na placu obok stacji kolejowej państwowe mienie w formie kilkuset metrów drzewa w klockach długości 1 metra, ów komitet uchwalił rozdać i częściowo sprzedać na rzecz biednych. Czyn zrealizowanej uchwały likwidującej owe składy drzewa ogromnie bolał byłego sołtysa z Białego Dunajca który okazał się małym Quislingiem, osobiście udał się do urzędującego już w tym czasie starosty niemieckiego w Nowym Targu ze skargą, że drzewo z lasów państwowych znajdujące się w Poroninie jakiś komitet rozdaje ludności oraz że w gminie tej nie ma żadnej władzy itd. Skutek tego był ten, że ów sołtys złożył przyrzeczenie służbowe na wierność „Wielkiej Rzeszy" i został mianowany wójtem gminy Poronin. Zaopatrzony w odpowiedni dokument powrócił do wsi już jako wójt. Było to dnia 20 września 1939 r.

POD OKUPACJĄ NIEMIECKĄ.

Od tego dnia byliśmy już pod rządem. Pierwszą czynnością wójta który usunął gminne „bezkrólewie", było wzbronienie zabierania drzewa. W tym samym dniu 20-go września, zwołuje on byłą radę gminną, w miejsce brakujących sołtysów mianuje nowych, zarządza pobór podatku, z czym nie solidaryzuje się rada gminna. Dnia 23 września przenosi urząd gminy z Poronina do Białego Dunajca i lokuje w budynku szkolnym. W dniu 1 listopada oglądamy afisze pokazujące nam ruiny i zgliszcza polskich miast z napisem: „Anglio, to twoje dzieło" — pierwsze kłamstwo wojenne Niemiec, w które nikt z Polaków nie wierzył. Jest Wszystkich Świętych, w kościele lud śpiewa pieśń z powtarzającym się refrenem: „Wszyscy Święci dawni, nowi — polećcie nas Chrystusowi — Odpędźcie wojska pogańskie — za granice chrześcijańskie".

Powoduje to zjawienie się u ks. J. Możdżenia proboszcza, jakiejś władzy wojskowej, a na przyszłość zabroniono śpiewać nawet inne pieśni. Kilka dni później znowu zjawiają się u tegoż księdza wójt i żandarmi niemieccy w sprawie rozdanego drzewa, które rozkazali księdzu zwrócić co do ostatniego klocka i to pod karą śmierci. Było też z tym nie mało kłopotu, ponieważ nie wszyscy mieli już owe drzewo, inni nie chcieli oddać, tak, że sporą ilość musiał ks. proboszcz i inni członkowie b. komitetu dokupić, ale byli i tacy, co drzewa nie pobrali, a braki pomagali wyrównać ofiarami własnego drzewa. W ciągu listopada napływają do wsi wysiedleńcy Polacy z Poznańskiego i Pomorza, żywią oni nadzieję, że na „gwiazdkę będą u siebie w domu". W grudniu 12 i 19 mamy już pierwsze spędy bydła, na które wyznaczono po 5 sztuk bydła, z naszej wsi, oczywiście na pierwszy „ogień" idą krowy gospodarzy nie mile widzianych przez władze gminne. Za spędami przychodzi oddawanie kontyngentów zboża. Rok 1940 rozpoczyna się krwawo. Dnia 15 stycznia na cmentarzu w Poroninie rozstrzelało gestapo w dzień na oczach ludności 4 więźniów przywiezionych z więzienia z Zakopanego, i jak stwierdza współwięzień Jan Zaremba z Poronina byli to Polacy, oficerowie rezerwy z zawodu nauczyciele: Dubas z Warszawy, Pieżacki i Tomaszewski z Łodzi, i przewodnik z Jórgowa na Spiszu. 17 stycznia dokonano pierwszego aresztowania gospodarzy w Białym Dunajcu.



Oddział straży pożarnej w Białym Dunajcu

Na linii kolejowej, między Poroninem a Białym Dunajcem kursujący parowóz wywrócił się wskutek podminowania toru, co było dla Niemców dowodem istnienia organizacji podziemnej. Powoduje to ustanowienie na terenie gminy zakładników, których nasza wieś wystawia 3, co 14 dni innych. Dnia 8 lutego następuje wyjazd pierwszego kontyngentu ludzi na roboty do Rzeszy. Nie wiadomo, jakie zarządzenie otrzymał zarząd gminy, ale przygotował na wyjazd 1.000 ludzi z gminy. Biały Dunajec miał dać 200, gromadząc wszystkich na ten dzień przed lokal gminy. Ludność jeszcze nieświadoma zeszła się nawet licznie, najwięcej ojców i matek z prośbami o zwolnienie wyznaczonych dzieci. Przybyła komisja nie posiadała się z radości na widok tylu ochotników, i oświadczyła publicznie, że tyle nie potrzeba, i żeby ci, co mają pracę w domu, odeszli. To wystarczyło. Wszystko się rozleciało, oburzone na wójta za tak gorliwy werbunek. Znalazł się we wsi zdolny karykaturzysta, który wymalował afisz, przedstawiający zimowy pojazd wypełniony ludźmi. Pojazd był zaprzągnięty w burego konia, który przedstawiał wójta mającego przydomek „Bury", jeden z sołtysów powoził koniem, a czterech popychało pojazd. Fizjognomie twarzy urzędników były udane. Napis na afiszu wołał „Wio Bury do Niemiec". Mieli też z tego ludzie uciechy co nie miara, a wójt — był wprost wściekły. Zerwał ów afisz i odniósł do gestapo, podejrzewając wiele osób o wykonanie afisza. Wiadomo, że następne wyjazdy nie były takie pomyślne jak ten pierwszy, tak że wyjechał i ów karykaturzysta, a widząc rzucanie się wójta na niewinnych ludzi powiadomił listem wójta o swoim czynie. To szczere wyznanie przypłacił życiem, gdyż kara i tam go dosięgła. Był to Stan. Cudzich z Białego Dunajca.

Tej samej jeszcze zimy zabrali Niemcy 100 mtr. drzewa z lasu własności naszej gromady, a we wsi gospodarzom od domów drzewo i deski budulcowe wysokiej wartości, a z całej wsi, w ilości nieobliczonej. Zburzono też i rozebrano dom — karczmę Wachsbergera Markusa. Niebawem zabroniono wolnego handlu wszelkim nabiałem, nakazując przymusową dostawę kontyngentu mleka, do czego ludność nie chciała się zastosować. Stąd też posypały się najrozmaitsze kary, przy czym wprowadzono kontrolę uliczną dla pojazdów i przechodniów, którą to czynność najsumienniej spełniała polska policja, odbierając niesione masło i mleko i wylewając je do rowów przydrożnych.

Dnia 30. 10. 1940 r. odbył się pierwszy przegląd i klasowanie bydła w naszej wsi. Bydło sklasowano na 4 klasy. Krowom III i IV klasy groziła śmierć dlatego, że były różnorodnej maści: łyse, kwiaciate i brzeziałe a tych nie bardzo lubili Polacy członkowie komisji i bez względu na ich mleczność dawano im klasy gorsze, aby ich kosztem uratować krowy inne. Dano gromadzie nakaz, by co tydzień dostarczyła na kontyngent 2 sztuki świń o wadze od 80 kg. wzwyż. Niestety, takich świń w ogóle wieś nie posiadała, bowiem gdy dowiedziano się o tym, wszystkie większe świnie „pozdychały", ale mniejsze nigdy nie mogły osiągnąć pożądanej wagi, bo je choroba brała, więc z konieczności też „padały". Mleko też jakoś nie chciało do zlewni płynąć silnym strumieniem, z tego powodu płynęły na mieszkańców wysokie kary pieniężne, ale i te nie wiele skutkowały. Nareszcie zaistniały dla Białego Dunajca dni iście „sądne", kiedy to 21, 22 i 23 marca 1942 r. zjechało kilka samochodów niemieckiego „Sonderdienstu" i innych wojskowych, którzy wysiedli w kilku punktach wsi, rozlatując się po domach przeprowadzając gruntowne rewizje a spostrzeżone naczynia z mlekiem rzucali, tłukąc o podłogę. Masielniczki rozbijano kolbami, lub skakano na nie nogami aż do rozbicia, wirówki do mleka, mięso i słoninę jeżeli takowe znaleziono, zabierano i ładowano do samochodów a nawet rabowano i inne rzeczy, jak wełnę owczą i sukno, a też i wartościowsze części przyodziewku. Tak obładowawszy się, odjechali wieczorem. Sądziliśmy, że na tym koniec. Niestety, na drugi dzień ta sama historia, a nawet gorsza. W niektórych domach wyrywano podłogi i rozwalano piece, przy czym domowników bito i kopano, zwłaszcza jeżeli znaleziono słoninę czy masło i niezależnie od konfiskaty, nakładano jeszcze kary pieniężne. Nadto kilkudziesięciu gospodarzom zarekwirowano wszystkie sztuki bydła oraz wszystką paszę ze stodół, słomę i siano, rozkazując wszystko na jutrzejszy dzień przygotować do odwiezienia. Sołtys był zmuszony dostarczyć furmanki na przewóz paszy. Następnego dnia, trzeciego już, od wczesnego rana byli we wsi. Tym razem zajęci byli tylko samym spędzaniem bydła i furmanek z paszą przed lokal gminy, w czym pomagała im i policja polska. Na koniec przyprowadzono z Poronina Ks. Kanonika Jakuba Możdżenia, proboszcza, któremu „polecili" prowadzić cały ten pochód krowi w liczbie 60 sztuk i pojazd furmanek z paszą w ilości 10 fur do Nowego Targu (20 klm. drogi), przyczym oświadczono mu, że to za karę, ponieważ „jest pasterzem, a owieczki są nieposłuszne, a na przyszłość musi je lepiej zachęcać do posłuszeństwa wobec zarządzeń władz".

W połowie kwietnia 1941 r. trafiono na ślad prac konspiracyjnych i czytanie pism nielegalnych — podziemnych, a to przez to, że wpadł w ręce gestapo Józef Gąsior, który pracował organizacyjnie, przy czym znaleziono przy nim materiał obciążający Białodunajczan i stąd nastąpiły dnia 18 kwietnia liczne aresztowania.

Pod koniec tegoż roku utworzono w Zakopanem tzw. „Komitet Góralski". Ludność wiadomość o tym przyjęła z wielkim oburzeniem. Nieszczęście chciało, że na nasze poniżenie, poza wójtem, który w tym komitecie był „ministrem" propagandy — znalazł się w Białym Dunajcu człowiek, który przyjął prezesurę delegatury Komitetu Góralskiego na gminę Poronin, a skutkiem tego odebrano zarządowi gminy wydawanie kenkart a wydawanie powierzono tejże delegaturze, a ta rzekomo na zarządzenie władz nie wystawiała innych, tylko z literą „G". Wobec tego ludność stawiła silny opór i w ogóle po kenkarty nie poszła, za wyjątkiem jednostek, które celem wyjazdu musiały zaopatrzyć się w dokumenty, poza tym przymuszono lub zachęcono mąką i wódką, kilku biednych i matołków, a częściowo i tych, którzy wywożeni byli na roboty do Niemiec, a nie rozumieli sprawy. Ogólnie grożono ludności wysiedleniem tych wszystkich, którzy wezmą inne kenkarty niż góralskie. Mimo tych gróźb ludność decydowała się nawet na ewentualne wysiedlenie, a kenkart zawsze domagała się polskich. Często też zajeżdżał do naszej gminy i wójta prezes Komitetu Góralskiego, Wacław Krzeptowski, który agitując zapewniał, że kto przyjmie kenkartę góralską jest wolny od wyjazdu do robót do Rzeszy i że bydła na kontyngent takiemu brać nie wolno itp. Wszystko to okazało się kłamstwem, gdyż w późniejszym czasie zabrano krowę samemu prezesowi delegatury na gminę Poronin. Sam Wacek Krzeptowski był znany dobrze całemu Podhalu, więc i Białodunajczanie wiedzieli, co o nim sądzić, a na jego widok pięści się zaciskały, ale rozumiano i to, że do zrobienia z nim rachunku na razie za wcześnie. Żeby dać upust swemu temperamentowi a nie narazić zakładników na utratę życia — śpiewano mu najrozmaitsze śpiewki a między innymi i tę:

„Cy Ty Wacek nie wiys, jacy my górole?—
Polska nam Ojczyzną — a my — Jej synowie!
Nie ryj świnio głupio, nie psuj polskiej sprawie —
Niemców z nos nie zrobis, choćbyś stoł na głowie!
Polska bedzie zyła, Niemcy przegrać muszą
Tobie kulka trafi — jabo cie obwiesom!".

Zaistniała tu jeszcze w tymże roku sprawa utworzenia z Podhala terenu zamkniętego dla nie górali i dla tych, którzy mieszkali tu krócej niż 20 lat. Wszyscy inni mieli rozkaz opuszczenia tego terenu, przenosząc się poza Nowy Targ. Cios był wymierzony specjalnie w przyjezdnych, a tu osiadłych i posiadających nieruchomości, grunt i budynki. Dotyczyło to również i księży, organistów, nauczycieli i wszystkich uchodźców i wysiedlonych. Była to sprawa bardzo niemiła dla nas, miejscowych górali, powodująca rozdźwięk między obywatelami jednej ojczyzny. Nikt się wprawdzie tak prędko nie wynosił, ale gdyby zarządzenie miało być wykonane, to parafie zostałyby bez kapłanów. Dla zorientowania się wysłał mnie ks. J. Możdżeń z Poronina do księdza Metropolity A. Sapiehy w Krakowie, który po wysłuchaniu tej sprawy orzekł, żeby ludność napływowa, tak świecka jak i duchowni, pozostali na miejscu. Nadto skierował delegowanego z listem polecającym od siebie do prezesa R.G.O. hr. Ronikera. Skutek był pomyślny, gdyż sprawa ucichła. Jednakże niektórzy z obawy przed utratą mienia pośpieszyli się tymczasem, pobierając kenkarty góralskie (choć nie byli góralami). Jeżeli chodzi o ilość kenkart góralskich w Białym Dunajcu, to było ich ogółem 138 na 2,800 ludności, według spisu niemieckiego z r. 1943. Odnośnie do tego spisu, znamienny jest fakt, że nikt nie przyznał się do narodowości góralskiej.

W roku 1942 pojawiają się po raz pierwszy partyzanci we wsi, upominając wójta, by nie był tak gorliwy w służbie dla okupanta, i żeby na przyszłość był lepszym Polakiem.

Warunki gospodarcze ludności pogarszały się z każdą chwilą. Np. kontyngenty zboża, ziemniaków, bydła, mleka, paszy — jak siano i słoma oraz ludzi podwyższano z każdym rokiem. W pierwszym roku kontyngent owsa wynosił z 1 ha. 60 kg., w drugim 250 kg., potem 350 a w końcu 700 kg., a ziemniaków 2,200 kg., zaś mięsa wieś miała nakaz do oddania co tydzień 15 — 20 tys. kg. żywca.

Jeżeli chodzi o płody rolne — ziemniaki i owies, to takiej ilości, której żądał okupant, żaden gospodarz na Podhalu z hektara nigdy nie zebrał, i — jeżeli nie padliśmy pod tymi ciężarami, to tylko dla tego, że przy sporządzaniu spisu użytków rolnych oszukiwano okupanta, w czym nam pomagali komisarze spisowi — Polacy.

Jedynie też dzięki polskim kolejarzom można było cośkolwiek z żywności dowieźć do wsi, bo żywność konfiskowali „Bahnschutze".

Najgorzej było w latach 1943 — 1944 i pierwsze dni stycznia 1945 r., kiedy były łapanki i aresztowania ewakuowanych Warszawiaków, którzy rzekomo organizowali górali do powstania. Wówczas urządzono łapanki po pociągach i stacjach, drogach, po wioskach a nawet i w czasie nabożeństw przy kościele. Chwytano nie tylko Warszawiaków, ale każdego, kto tylko wpadł w rę-

*) Patrz „Wieś" nr 23 (102), 26 (105), 27—28 (106—107) i 31 (110).

ce. Ale szczęście nie koniecznie im sprzyjało — wszystko uciekało w las, a las wtenczas był „nasz". Były często takie chwile, że nocą okrążono wojskiem część lub całą wieś zabierając starych, jeżeli młodych nie było. To też ludzie całe noce musieli siedzieć w różnych norach mokrych i zimnych. Za nieoddanie żądanych kontyngentów ludzi płaciła wieś kilkakrotnie kontrybucje pieniężne 10, 20 i 30 tysięcy złotych. Aresztowano nawet księży Obłudowicza i Kasiarza, wikarych w Poroninie, że nieudolnie zachęcali ludność na wyjazd do robót, a do uciekających ludzi strzelano jak do zajęcy, przy czym kilkunastu raniono a nawet zabito. Liczba wywiezionych z Białego Dunajca na roboty do Rzeszy jest określona na 70 ludzi, dokładnie trudno powiedzieć, gdyż były takie szczęśliwe osoby, które kilkakrotnie wyjeżdżały za siebie i za innych, a zawsze były w domu. Z wywiezionych do Rzeszy dotąd nie powróciło 9 osób, z których 3 uśmiercono, 2 nie dają żadnego znaku życia, a o ich śmierci też nic nie wiadomo, reszta utrzymuje kontakt z rodziną.

Podobne łapanki jakie przeżywali ludzie, stosowano też i do bydła, a to z racji niedostatecznej ilości dostawy kontyngentów bydlnych na mięso. Z początku całym utrapieniem był targownik, który stale w asyście swoich pomocników robił rewizje stajen, sprawdzając stan posiadanego bydła z listą rejestrowanych u siebie sztuk. Pierwsi wizytowani często padali ofiarą. W ostatnich latach to już z pastwisk położonych bliżej dróg zabierano bydło, obojętne komu, opornemu czy nie.

Dnia 14 września 1944 roku odbył się przegląd bydła. Był to już ostatni przegląd. Bydło zostało spędzone na plac przez żołnierzy uzbrojonych w karabiny maszynowe i rozpylacze, ale tylko z centrum wsi. Wyznaczono wówczas 80 sztuk krów na rzeź, które zaraz zabierano. Ludność zdołała część bydła uratować, a to dzięki przypadkowi, który spowodował błyszczący przedmiot lecący w powietrzu, budząc wśród komisji — Niemców wielkie zamieszanie. Tej samej nocy zjawiły się lecąc ze wschodu samoloty, oświetlając Zakopane. Syreny zawyły obwieszczając alarm lotniczy. Samoloty coraz liczniejsze warczały nad okolicą, nagle w pewnej chwili rozległ się głośny wybuch bomb, które w liczbie czterech spadły w pewnej odległości fabryki i mostów kolejowego i kołowego w Białym Dunajcu, powodując uszkodzenie domu jednego z gospodarzy.

Zaś o tej samej porze zrzucono na Łysej Polanie w Tatrach bardzo liczny desant, który z nadejściem zimy zamieszkał u gospodarzy w Małym Cichym, przysiółku Białego Dunajca.

W ostatnich miesiącach ludność wyraźnie bojkotowała oddawanie kontyngentów bydła na spęd, jako też i mleka, co było powodem masowego zabierania bydła przez specjalne brygady karnych ekspedycji wojskowych złożonych z Mongołów i Ukraińców, będących na żołdzie niemieckim, którzy niespodzianie do wsi wpadali, otaczając część domów i zabierali wszystko bydło. Więc znowu ucieczka z bydłem w góry i lasy, gdzie całymi tygodniami przetrzymywano bydło na mrozie i śniegu, donosząc im karmę nocami z domów, gdyż nie było wiadomo, kiedy znowu wpadną Niemcy na następny rabunek. Nie darowano też i dorożkom powozowym, lecz te same brygady zabierały je.

Istniała jeszcze jedna udręka, którą trapiono gospodarzy posiadających konie, ustawicznie wypędzając ich do zwózki drzewa z lasów tatrzańskich, czego dokonywali wojskowi strażnicy lasów zwani Fortschützen pod grozą luf karabinowych. Zwózka dawała wyniki niezadawalające, bowiem gospodarze wyjeżdżali ze wsi jedną drogą, a drugą po jakimś czasie wracali nie będąc w ogóle w lesie. Ale sztuka ta nie zawsze się udawała, trzeba było być w lesie. Tu jednak starano się tego drzewa jak najmniejsze ilości zabrać, za co znowu jeden z urzędujących podówczas letników, policzkował chłopów, wyrażając się przy tym, „że wszystkich chłopów kazałby wybić". Otrzymywane od niego razy były dla nas bardzo bolesne, nie tyle fizycznie, co duchowo, dlatego że był Polakiem.

Wieczorem dnia 30 grudnia 1944 roku, partyzantka uprowadziła wójta gminy Poronin, obyw. B. Dunajca Fr. Franosza — „Burego", na którym wykonano wyrok śmierci, zaś z lokalu zarządu gminy zabrano i spalono sporą ilość ważniejszych akt i ksiąg bierczych dla podatku. Srekretarz o wypadku doniósł na „Gestapo". Wypadki te zrobiły na ludności ogromne wrażenie i oczekiwano lada dzień nieuniknionej pacyfikacji, która jednak nie nastąpiła. Widzieliśmy w tym wyraźną słabość, czy też niepewność siebie.

Od połowy stycznia 1945 r. zaczynają się przewalać liczne oddziały wojsk niemieckich idących ze wschodu. Pierwsze grupy zatrzymują się jeszcze na kilka dni w naszej wsi, zajmując gospodarzom mieszkania, przywłaszczając sobie co im się podoba, nie wyłączając koni i bydła, które zabijano na miejscu i jedzono. Ludność chcąc ratować swoje mienie, jeszcze raz ucieka z nim w odległe przysiółki zdala od głównych tras. Wojska nie długo ruszyły na zachód, i odtąd nieustannie wloką się i wloką ociężale i bez pruskiej buty. W niedzielę dnia 28, przybyli specjalni wojskowi i minowali mosty, kołowy most z betonu i drugi kolejowy, z których ten pierwszy w nocy wysadzono, a drugi ocalał dzięki odważnym ludziom, którzy most rozminowali. W poniedziałek 29 stycznia do południa uchodzą resztki wojsk niemieckich — po południu pojawiają się pierwsze spore oddziały wojsk Czerwonej Armii, które ostatecznie uwolniły nas od barbarzyńskiego najeźdźcy.

* * *

Oto historia wsi polskiej na przestrzeni prawie 4-ch stuleci, która nigdy nie zaznała dobrobytu, lecz zawsze ssana, wykorzystywana z sił i dóbr, jęcząc, uginała się pod ciężarem pańskiego jarzma, tak w czasach królewskiej Polski, jak i cesarsko - królewskiej Austrii i potem. To też witając zwycięską armię — witamy Polskę nową, odrodzoną — wolną, z nadzieją, że dla polskiej wsi, polskiego chłopa w tej Polsce nastaną inne lepsze czasy.

Mamy tę wielką satysfakcję, że miejsce pańszczyźnianego ucisku, Dwór Uznańskich w Szaflarach — zamieniono na kuźnię wiedzy i kultury dla chłopskich synów — Chłopski Uniwersytet Ludowy.

Korzystano ze źródeł:

1) Dokumenty archiwalne udostępnione mi w lipcu 1932 r. przez p. Dr. Gabriela Leńczyka, członka Akad. Umiejętności w Krakowie.
2) Materiały i zapiski zebrane przez p. Dr. L. Wyrostka, dotąd jeszcze drukiem nie wydane, z których pozwolono mi korzystać.
3) „Dzieje i Ustrój Podhala Nowotarskiego" prof. Józefa Rafacza.
4) Gminne akta i dokumenty znajdujące się w posiadaniu Woj. Stachowca z Białego Dunajca oraz ustne opowiadanie tegoż; a nadto własne zapiski.

Andrzej Skupień-Florek

Bolesław Chęciński

CHATA ŁOWICKA

Fragmenty poematu „Lato łowickie"

Nie bez znaczenia dla charakterystyki poety jest odkrycie jego patrona literackiego. Chłop Kuraś piszący na nutę hrabiego Krasińskiego to zjawisko szczególne nie tylko w literackim, ale i społecznym wydźwięku.

Patronem poematu Chęcińskiego „Lato Łowickie" jest Julian Tuwim ze swymi „Kwiatami Polskimi". Widoczny jest u Tuwima rozkład mowy poetyckiej w zbytniej rozlewności, niepowściągliwości języka. Poezja nie tkwi tu w samym utworze, nie jest on poematem dzięki specyficzności konstrukcji, a dzięki działaniu ubocznej siły, jakiegoś współczynnika poetyczności będącego i egzaltacją uczuciową poety i wynikiem jego gadatliwej ogłady literackiej. Opis idzie za opisem, spojrzenie snuje się i spostrzega coraz nowe szczegóły obrazu, zatrzymuje się, by po chwili kapryśnie ruszyć dalej.

Nasz autor pozbawiony tego stopnia kultury literackiej, co Tuwim, bierze formę poematu z ostatniej, a nie pierwszej ręki, którą by należało może widzieć w poematach Słowackiego. Inowacją „Beniowskiego", „Podróży do Ziemi Świętej" było objęcie sferą poetyckiego języka treści potocznych, wulgarnych. Mieszanie ich z podniosłymi przedmiotami rzucało na nie blask poetyczności, a jednocześnie przydawało im coś z żartu i kpiny. Przedmioty zwykłe, pospolite nie miały tu nic z powagi głów kapuścianych i grzybów z „Pana Tadeusza".

Bronisław Chęciński w poemacie „Lato Łowickie" zamierzył jeszcze raz przełamać sferę poetyckiego języka, jak to zrobił dla swoich prozaizmów Słowacki. Tylko prozaizmy Chęcińskiego są już inne — nowocześniejsze: szosa, motocykl, elektryczność, radio, motorowa młocarnia. Przedmioty te w zestawieniu z etnografom niemal właściwą egzaltacją w opisie sielskiego regionu, tak już zakrzepłego w swej ludowości, jak region łowicki — dają rzeczywiście wrażenie przerwania jakiegoś zastałego schematu literackiego. Przy tym przedmioty te, nowoczesne wulgaryzmy, jak w romantycznym języku: parasol, czy słoma, występują w szerszej funkcji — nie tylko w funkcji wyszukanego ornamentu poetyckiego, jak jest właśnie u Tuwima, ale i problemu. Nazywanie — jako czynność poety — pokrywa się w tym wypadku ze stawianiem w poezji problemu społecznego.

Chęciński kocha się w ludowości wsi łowickiej, ale technika, nowoczesne formy życia nie psują jego wiejskiej wizji. Wbrew sobie, wbrew pewnej nieporadności literackiej dokonuje Chęciński w swym zakresie odkrycia ściśle literackiego.

A. K.

Słońce wysoko, wnet południe.
Idziemy do wsi wolnym krokiem
po brukowanej, twardej drodze.
Drogi tu proste są i równe,
nie jak z przysłowia „drogi polskie".
Z taką się drogą postęp zgodzi.
Czasem gościńcem takim przemknie
dzisiaj motocykl. Księżak na nim
opanowanym ruchem siedzi
i myśli, jak to będzie pięknie,
gdy na samochód go zamieni,
co stanie wpoprzek chłopskiej biedzie.

Wieś leży cicho w młodym słońcu
otwarta jak na jasnej dłoni
Ledwie ją ptasi podźwięk trąca
i czasem głos ochrypły zgoni
psa, co znużony próżnowaniem
zaskomli smętnie, lub zaszczeka.

Patrzmy na domy. Jedne stare,
dawniejszą modą budowane
z bierwion szerokich topolowych,
albo sosnowych, na dębowych
przyciesiach mocnych. Szpara w szparę
mchem obetkana, a znad ściany
frontowej, górą spopod dachu
ornament pstrzy się kolorowy
na desce pięknie wyrzezanej.

Oprócz okapów, strojnych szczytów,
gzymsów, grzebieni nade drzwiami
też okiennice ówdzie i tu
grają barwnością i kwiatami
malowanymi kolorowo.



Ze zbiorów D. Gałaja

Młodsze zaś domy okazalej
rozbudowane modą nową
obszerne są i zgrabne wcale,
z cegły czerwonej albo szarej,
niektóre z drzewa, szalowane,
obite deską, malowane.
Przy nich — jak zwiędłe domy stare!
Do drogi ganek dom przybliża
nakryty gęsto dzikim winem,
albo też różą jerychońską.
Schodki kamienne u podnóża
czasem z betonu, albo inne.

Przed frontem kwietne lśnią ogródki
wilgną świeżością barw soczystych.
Na klombach w serca i trójkąty
śnieżą się róże, a na krótkich
łodygach toną w kolor bystry
piwonie duże. Im nie skąpi
natura krwi czerwonej, która
z płatków im tryska widmem pełnym.
Goździki, lilie, georginie,
pomniejszych kwiatów barwna chmura —
(z niej biorą wzór pasiaste wełny —
barwa w nich żyje i nie sinie). —
Ogródek jakby jeden bukiet,
a w nim związano wszystkie kwiaty —
złote nagietki, niskie bratki,
ani im jeden kolor uciekł.

Idąc przez Złaków, Bąków, Bocheń,
Łaźniki, Zduny, Wierznowice,
Ostrów, Skaratki, Jackowice,
zdziwi się może nieraz trochę,
kto myśl o nędznej wsi hoduje,
kiedy zobaczy nowoczesne
domy mieszkalne, chłopskie wille,
nieraz piętrowe, tynkowane.
A chłopskie serce dumę czuje,
że praca jego tak pocieszne
daje owoce. Patrzeć milej
na nowe domy, pod dachówką,
w których wygodniej żyją ludzie,
niźli na chaty pochylone
w cień spróchniałego romantyzmu.

Ażeby nas nie zapomniały
ściany tej izby za rozstaniem,
przypatrzmy im się lepiej przecie.

Nad ołtarzykiem uskrzydlonym
w porcelanowe cherubinki,
pod łzą Madonny zawieszony
wieczystej lampki płomyk cienki...

Oprócz wysoko białym puchem
zasłanych łóżek, spopod ściany
zwraca uwagę skrzynia kuta
W niej spoczną miękko kiecki zute
znieruchomione snem różanym
w szarości powszedniego jutra.
Jak wszędzie kwiaty również i tu
na kutej skrzyni malowane
w łodygi cienkie, pstre korony.
Schowek odświętnych aksamitów
musi być sprzętem ozdabianym.

Oprócz kredensów szklonych jasno,
maszyn do szycia, szaf — pokaże
oczom się rzecz, co przez wieś poszła
zdobyczą piękną i wyraźną.
To elektryczność, która łuną
spod niskiej strzechy załopocze,
aby rozświetlić wsiowe oczy.
Z nią na wieś cały postęp runął
i często już po rannej rosie
muzykę ściele, piosenkę toczy
radioaparat nowoczesny.

Do domu weszła właśnie matka
stateczna wiekiem Murasowa,
a czując w uszach posmak pieśni
zazdrości zlekka swym sąsiadkom:
Żeby tak z trzody coś uchować,
sprzedać i radio takie kupić,
jak u sąsiadek, rzecz galanta
taki aparat i niegłupi
musiał być człowiek, kawał frunta,
co takie radio wymajstrował.

A po stodołach dzień roboczy,
Warczą motory elektryczne.
Odkryta chłopom siła nowa,
gdy postęp w progi jego wkroczył.
Przestał pajacem być komicznym
ubogi kmiotek w pańskich oczach

Rzecz w dawnej chacie niewidziana,
mebel niewielki w kącie stoi,
którego chłopu pozazdrości
ciarach niejeden w portkach z pana
To etażerka malowana,
książkami pełna izbę stroi.

Książki rozmaite, naukowe,
trochę rolnicze, trochę chłopskie.
Po latach również tu pod strzechę
zbłądziły księgi Adamowe,
czego tak pragnął pielgrzym polski,
gdy wzdychał w niebo o pociechę.
Tutaj też właśnie jako nigdzie
wdzięcznego znajdzie czytelnika
poezja nasza, powieść polska.



Ze zbiorów D. Gałaja

Zdzisław Skwarczyński

KSIĄDZ PLEBAN*)

(Chłop i sprawa chłopska w powieści XVIII w.) (III)

Motyw „dobrego plebana" najobszerniej rozwinięty przez Kossakowskiego w całym naszym romansie czasów Stanisława Augusta występuje w tym romansie na tle słabiej zaznaczonych ,ale interesujących kilku wariantów „złego plebana"; jest pozytywem na tle kilku negatywów.

Pamiętamy, że kiedy karbowy w **Pani Podczaszynie** wynosił pod niebiosy zasługi Księdza Plebana wspomniał, że za poprzednika jego istniała przy kościele przybita do muru kuna, w którą wsadzano chłopów, sznury od dzwonów były narzędziem do bicia, a dom Boży — miejscem postrachu i kary.

Otóż na takiego to księdza trafia narrator z **Księdza Plebana** w swej podróży do odziedziczonej majętności.

Zbieżność między Kossakowskim i Krajewskim wynika tu najprawdopodobniej, wobec jednoczesnego ukazania się ich dzieł, z obserwowanych ówcześnie faktów.

Przyjrzyjmy się bliżej temu Księdzu Plebanowi zamieniającemu chłopom parafianom życie doczesne w piekło i czyściec. Jest to najżywiej nakreślony obrazek w całym utworze.

...„Jużem go — mówi narrator — zastał na cmentarzu fukającego i hałasującego: człowiek zsiadły, krępy, czarny, marsowaty, brew mu oczy zasłaniała, kij w ręku trzymał i ledwie spode łba na mnie spojrzał; jam się też nie chciał pod tą piorunującą minę zaraz nawijać, alem się udał do kościoła, przy którego drzwiach kilkanaście przybitych postrzegłem żelaznych obręczy na szyję, na ręce, na nogi i na pół, a w samych drzwiach wisiały dwa z grubych powrozów ukręcone knoty. Wchodząc w kościół po jednej stronie na boku leżały różne nieznajome mi cale narzędzia: rogi na głowę, wieniec duży ze słomy, bałwanek z drzewa w chusty uwiniony i inne tego gatunku kawałki, z drugiej zaś strony stała na stołku skarbona duża wielką kłódką zamknięta i woda święcona. Kilku pleczystych chłopów wartę trzymało na wstępie do kościoła i w samym kościele, opatrzonych w porządne kije".

Śród osobliwych rekwizytów, jakich katalog daje nam autor, rzuca się w oczy skarbona. Pozwala to przypuszczać, że kary mają swe źródło nie tylko w anachronicznym fanatyźmie religijnym, że mają one również podłoże ekonomiczne. Jakoż odsłania je autor nieco dalej, komentując w sposób satyryczny „ceremonie" odbywające się przed mszą na cmentarzu kościelnym.

...„postrzegłem Księdza Plebana przybranego w komżę i stułę, trzymającego krzyż w ręku, stojącego nad rozciągnionym na ziemi nieszczęśliwym, którego we dwa grube powrozy przy duchowym napominaniu oprawcy siekli. Ta kolej ledwo na ósmym czy dziesiątym pokładaczu zakończyła się. Dorozumiałem się przyczyny z samej duchowej nauki, iż ta kara była: za branie trunków u żydów cudzych na wesela, chrzciny i pogrzeby, jako u nieprzyjaciół Chrystusa, czarowników i bluźnierców, pomimo karczmy Księdza Plebana, w której chociaż drożej, mniejsza miara i nie tak dobre były trunki, przecież od wszystkiego podejrzenia wolne; za najmowanie się do posługi heretykom, Żydom i niewiernym z odmówieniem na zawołanie Księdza Plebana do uprawiania ziemi świętej, jako kapłańskiej i błogosławionej. Przystąpiono do drugiej ceremonii zamykania w obręcze żelazne: organista głosem wyniesionym z dużej księgi czytał przewinienia i przyczynę kar: za uchybienie na mszy, za nieposłuszeństwo kościołowi świętemu i jego sługom, za pochwycenie przed nadchodzącą burzą w dzień święty siana i snopków ściętych i tym podobne. W niedostatku żelaza powrozami krępowano innych, do południowej pory wystawując na widok rozrzewnionym rodzicom i krewnym, a obcym na szyderstwo".

To są przewinienia najcięższe. Z kolei następują mniejsze przestępstwa. Rzeczone dystynkcje mają podkreślić istotę umoralniającej działalności duszpasterza. Ze względów obyczajowych są one tak ciekawe, że warto przy nich na chwilę zatrzymać jeszcze uwagę:

..."za nieumienie pacierzy, katechizmu i tym podobnych rzeczy rozkazywano różne robić postawy, rozciągając ręce, wyciągając się na ziemi, na kolanach włóczyć się koło kościoła, a po zakończonej pokucie odpłacać do karbony grzechy i przez dziada oblewającego wodą święconą brać krzyż do pocałowania. Rozumiałem — opowiada narrator — iż się już na tym zakończyły święte upomnienia, aż w tym właśnie czasie wprowadza się procesja z okrzykiem, wyśmianiem i skazywaniem palcami. Kilka osób szły w niej z przyprawionymi rogami do głowy za niepowściągliwość, jakoby dopatrzoną żon i własne ułomności. Dziewki przybrane miały w słomiane wieńce głowy, a niektóre w rękach trzymały bałwanki z drzewa; miały to być znaki płochości dowiedzionej z podejrzenia i ze skutków".

Do tej z zacięciem antyklerykalnego satyryka nakreślonej figury plebana wiejskiego przybywa jeszcze kilka mniej wyrazistych.

Śród galerii dotychczas poznanych plebanów nie było ani jednego, któryby stawał na poprzek dążeniom „dobrych panów" zmniejszających dla humanitarnych lub gospodarczych pobudek ciężary i dolegliwości chłopskie. Z figurą taką spotykamy się teraz dopiero. Spotkany w podróży przyjaciel opowiada o przeprawach rodziców narratora z ich plebanem. Zwięzła opowieść o zamierzeniach i czynach rodziców narratora może być traktowana jako ubocznie zaznaczony motyw „dobrego pana". Podejmują oni starania mające podnieść gospodarkę przez zakładanie nowych osad i poprawić dolę chłopów. W tym celu rezygnują najpierw ze swej zwierzchności sądowej w sporach między poddanymi na rzecz ich samych. Dalej, licząc się z korzyściami, jakie to może później dać, nie szczędzą nakładów i zapomóg dla nowoosiedleńców. Wreszcie zaś zachęcają swych poddanych do czystości, dbałości o ubiór i inne wygody życia. Nie trudno dostrzec, że czynią niewiele w stosunku do swych protagonistów powieściowych, którzy zadania swe pojmowali szerzej i głębiej ale i w tych wątłych usiłowaniach przeszkadza im pleban. Przywłaszcza więc sobie władzę sądowniczą nad poddanymi. Nie łożąc żadnych nakładów, chce natychmiastowych świadczeń na swoją rzecz od nowoosiedleńców. Dbałości chłopów o czystość, przyzwoity ubiór i wygody życia przyganiał, zdzierał nawet odzież i wyklinał winnych, uważając te rzeczy za nieprzyzwoite i przeciwne podłości kmiecej. „Cóż dopiero mówić o lichwach, zdzierstwach, targach duchownych, o władzy pozwalania i zabraniania służby i robót, jak on nazywał, niewiernym, przy innych zdrożnościach przez skromność nie mogących się wyjawiać" — kończy autor.

Trudno się domyśleć o jakich to zdrożnościach przeciwnych skromności mowa. Do przypuszczenia, że chodzi tu o wyzysk seksualny nie upoważnia nas nic poza zestawieniem, dość bałamutnym zresztą, samych słów: zdrożność i skromność. Nawet wyzysk gospodarczy i religijny — choć oczywisty — jest ogólnikowo zaznaczony. Dopiero następne exemplum precyzuje bliżej niektóre jego strony.

Narrator w karczmie, w której zatrzymał się popasem, widzi zrozpaczonych i zapłakanych ludzi, bo ksiądz odmówił im posług religijnych, jako, że nie mieli ich czym opłacić. Są to dwie pary „zabierające się do stanu małżeńskiego", które ksiądz odpędził od ołtarza, oraz „mąż zmarłej żony z kilkoma drobnych dziatek, chcący pogrześć swoją małżonkę, dla której własnymi rękoma z dziećmi dół wykopał i łzami polał, ksiądz zaś nie pozwala złożyć ciała, póki mu nie opłaci za miejsce...". Przyszli oni wszyscy szukać miłosierdzia u Żyda-karczmarza, zapisując się mu się do wysługi i wyrobku za pożyczenie pieniędzy. Karczmarz, potwierdzając prawdziwość tego, co mówią chłopi, zaznacza, że za niego takiego zdzierstwa nie było. Zdumionemu tym zwrotem narratorowi wyjaśnia, że gdy plebanem w tej wiosce był ksiądz Matemata (matematyk), „zrendował" jemu całą plebanię i wszystkie dochody kościelne, zdawszy mu zupełny rząd i moc targowania się za chrzty, śluby i pogrzeby, a on był obowiązany sprowadzać księdza na dni święte do nabożeństwa i że borgował ludziom nie mającym sposobu opłacenia się...". Obecny zaś duszpasterz szlachcicowi wypuścił wioskę, a księdzu komendarzowi na całe jego życie i wszystkie potrzeby zaarendował śluby, chrzty i pogrzeby. Ten to ksiądz komendarz musi i sam z tego żyć i ludzi opłacać i ks. kanonikowi (plebanowi) sumę pewną na rok oddawać i on to tak uciska chłopów.

Sprawa wyzysku religijnego odezwie się później w którejś — niestety, z powodu zniszczenia materiałów, nie pomnę której — powieści naszej pierwszej połowy XIX wieku, z tą wszakże różnicą, że klucze od cerkwi prawosławnej, bo rzecz toczy się na Ukrainie, oddaje pan w arendę Żydowi-karczmarzowi.

Na tak podmalowanym tle, na tle „złych plebanów" występuje działalność „dobrego plebana". O postaci samej nie wiele powiedzieć można. Dowiadujemy się, że wywodzi się z ubogiej szlachty, bo rodzice jego mieli tylko włókę gruntu i stąd skromność i umiarkowanie są jego cnotami. Cnót tych zresztą posiada więcej, nawet za wiele, jak na jednego człowieka.

...„Na celu widoku mojego — oświadcza prawie na wstępie — była szczęśliwość wieczna i doczesna moich parafianów, a te jako rodzone siostry, zdawały mi się jednym być spojone ogniwem. Rozumiałem, iż w pomyślności każdy człowiek prędzej winien podnosić duszę do Boga dawcy dobra, mając zdrowie przydające sił rozumowi do tym jaśniejszego poznania prawdy i zakochania cnoty".

Cele wytyczone przez Księdza Plebana wykraczały poza granice tradycyjnie pojętych obowiązków i kompetencji wiejskiego plebana. Jego troska o parafian-chłopów, szeroko pojęta, jak potem zobaczymy — kolidować mogła z uprawnieniami panów, do których wsie wchodzące w obręb parafii — należały, a na pewno każda inicjatywa gospodarcza podjęta przez niego musiała się liczyć z oporem czy oporami wynikającymi z różnorodnych postaw panów wobec poddanych. Autor rozwiązuje te trudności łatwo, dążąc wyraźnie do zupełnej swobody w przedstawieniu idealnej społeczności kierowanej przez Księdza Plebana. Łatwość z jaką uprząta sobie grunt pod gmach owej społeczności nasuwa dwa przypuszczenia, dające się zresztą od biedy pogodzić. Pierwsze, formułowane już poprzednio, że partia romansu objęta motywem „dobrego plebana" jest katolicką utopią społeczną, drugie zaś — nieco dziwne, jeśli chodzi o Kossakowskiego — że ta utopia ma pretensje do generalnego rozwiązania problemów ówczesnej wsi w sensie pożądanym przez kameralistów, z pewnymi jednak modyfikacjami. Ponad interes państwa i jego prawo do ingerencji w stosunki gospodarczo-społeczne narodu, co — jak wiadomo — było kamieniem węgielnym kameralistyki, wynosi Kossakowski racje inne: religijno-moralne, ale twór jego społeczny nawet w szczegółach wielu przypomina organizm państwowy i co ważniejsza taki, jakiego pragnąć sobie ówcześnie należało.

Liczna ludność posiadająca dostateczny dochód oraz uznanie dochodu narodowego za jedynie istotne źródło dochodu i siły państwa, a więc idee zbliżające do kameralistyki znajdują pełny wyraz w działalności Księdza Plebana.

Zaczyna swą pracę — tak, jak pojmował ją Pan Podstoli — od nauki skierowanej do panów. O ile jednak w argumentacji Pana Podstolego przemawiającego za polepszeniem doli chłopa przeważają motywy gospodarcze, to Ksiądz Pleban Kossakowskiego chętniej sięga do arsenału argumentów moralno-teologicznych. Kossakowskiemu na pewno udało się przewyższyć swój wzór tzn. Pana Podstolego pod względem jakości i ilości osiągnięć społecznych, w obrębie swego romansu, ale okupił to ceną zbyt wielką, bo zapłacił nieprawdopodobieństwem swego modelu. Chcąc przeciwstawić się kameralistom pod względem drogi, jaką należy wybrać dla osiągnięcia tego samego celu, uzależnił byt swej konstrukcji społecznej od dobrodziejstwa, umiarkowania i innych cnót moralnych panów. Wszystkie punkty dobrowolnej ugody, jaką łatwo dało się osiągnąć Księdzu Plebanowi między panami a ich poddanymi, łącznie z „trzecim snopem", są w świetle ówczesnej praktyki problematyczne, w istocie bowiem mobilizują do sporów o nie całe społeczeństwo, choć leżą w obrębie teorii fizjokratów, bliskiej tradycyjnym poglądom gospodarczym szlachty. Autor ominąwszy trudność udaje, że ją przezwyciężył.

Rozejrzyjmy się teraz dokładniej w budowli wzniesionej przez niego.

Rozpocząć wypada od przeciwstawienia kwitnącego stanu gospodarczego całej parafii zaniedbaniu wsi cytowanemu na wstępie. Obowiązuje tu, rzecz prosta, schemat, z którym wypadło już kilkakrotnie zetknąć się czytelnikowi w ciągu niniejszej pracy. A więc drogi w parafii są porządnie usypane, wyprostowane i „różnym drzewem rozrosłym wysadzone"; mosty „gruntowne i bezpieczne"; lasy „dla prędszego wzrostu podkrzesane" i oczyszczone z gałęzi i zawalin; wsie obfitujące w sady i chmielniki; domostwa na wysokim podmurowaniu „z kominami na dach wyniesionymi i oknami światłymi"; ludzie dobrze ubrani, cery zdrowej, weseli, nucący przy pracy **zgodnym tonem piosenki**; trzody bydła liczne i wypasione etc.

To są znamiona szczęśliwości i zamożności mieszkańców parafii. Reformę poczyna Ksiądz Pleban od podstaw, tzn. od oczyszczenia źródeł moralności, usunięcia przeszkód utrudniających poprawę bytu parafianów. Ciemnota, arendarze Żydzi i nieumiejętne nauczanie zasad religii — to dla niego sprawy najważniejsze. Ze skwapliwości autor zajmuje się sprawą Żydów, wysuwając ją niejako na czoło. Tłumaczy tedy panom najpierw gruntowne pożytki z oświaty poddanych, naturalnie oświaty dostosowanej do ich stanu, biorąc na siebie opiekę nad charakterem i wykonaniem edukacji. Dalej zaś perswaduje panom szkodliwość Żydów-arendarzy, zarzucając im szalbierstwa, oszustwa, rozbudzanie nienawiści ku panom, buntowanie poddanych i wreszcie odwodzenie od zasad moralności nauczanej przez plebana. W końcu walczy Ksiądz Pleban z zabobonem i fałszywą pobożnością wynikającą z bierności życiowej.

Budowa kościoła wspólnym wysiłkiem wszystkich parafian — to najpoważniejsze dzieło Księdza Plebana, z którym się stykamy na początku jego działalności. Uspołecznienie osiągnięte przy tym, będące próbą solidaryzmu chrześcijańskiego i przysposobienie ludzi do nieznanych im wyższych funkcji gospodarczych staje się dodatkowym ważkim efektem wychowawczo-gospodarczym. Parafianie, szlachta i pospólstwo, za przykładem swego pasterza podążając, uczą się ofiarnej pracy dla społeczeństwa, którym jest gmina religijna. Przy kościele tworzy Ksiądz Pleban archiwum i bibliotekę publiczną. Kustoszem jest Ksiądz Komendarz, służący radą i informacjami wypożyczającym książki.

Chcąc podnieść stan zdrowotny chłopów, a jak wiemy na oku ma Ksiądz Pleban podniesienie zaludnienia parafii, usuwa za wzorem Pana Podstolego główną przyczynę śmiertelności wiejskiej, tzn. nieodpowiadające wymaganiom higieny domostwa, inicjując budowę nowych. Akcja Księdza Plebana polega na tym, by zyskać przychylność panów i ich pomoc, nie obciążając ich jednak kosztami, co charakterystyczne, chłopów zaś pobudzić do społecznego wysiłku, *mają oni bowiem w zespołach po* dziesięć gospodarstw wzajem sobie co rok jeden dom wystawiać nowy, korzystając z pomocy parafialnej kasy miłosierdzia, czegoś w rodzaju instytucji bankowej, w zakresie zaopatrywania w cegłę na podmurowania, kominy i kuchnie oraz szkło do okien. Uspołecznienie sięga nawet w dziedzinę indywidualnych gospodarstw, bo każda wieś buduje sobie dla zdrowia, bezpieczeństwa i oszczędności piekarnię. Wyższe potrzeby wymagają zróżnicowanych i stałych funkcyj i na tym tle pojawiają się w parafii rzemieślnicy: garncarz, cieśla, szklarz, stolarz i kowal, rezydujący we wsi kościelnej w budynkach parafialnych, za co wnoszą odpowiednie opłaty do kasy miłosierdzia. Są także: kapelusznik, garbarze, szewc, krawcy, sukiennicy i kupiec, by służyć potrzebom rolników, jak to sobie wyobrażali fizjokraci. Jedni z nich są także „lekarzami ludzkimi", dostarczając bowiem tanio swych wyrobów, chronią chłopów przed chorobami wynikającymi z braku nieodpowiedniej odzieży i obuwia, inni służą swą pracą ku wygodzie i ozdobie życia, co zachęca rolników do wytężonej pracy i „przemysłu".

Informacje o akcji profilaktycznej kończy wzmianka, że Ksiądz Pleban ogłasza zawsze z ambony kiedy i jakich owoców używać się już godzi, bo właśnie ze względów dietetyczno-zdrowotnych (zwłaszcza dla zapobieżenia szkorbutowi) propaguje śród swoich parafian sadownictwo, oraz, że przy szpitalu istnieje izba szczepienia ospy. Szczegół to dosyć ciekawy — nawiasem mówiąc — jeśli się zważy, że Jenner dopiero w r. 1796 zaczął stosować szczepienia ochronne. Skoro zaś już wypadło mówić o szpitalu, dodajmy, że poza szpitalem parafialnym, każda wieś ma swój szpital dla zakaźnie chorych, a pieczę lekarską nad nimi sprawuje felczer utrzymywany kosztem parafii.

Po tych zabiegach w celu podniesienia stanu zdrowotnego wsi i zmniejszenia śmiertelności idzie staranie o poziom życia obyczajowego. Służy temu celowi dom parafialny. W nim to odbywają się obecnie uczty weselne i tym podobne uroczystości, wypierając dawny dziki zwyczaj wesel i biesiad wiejskich „opilstwem i ceremoniałami skromność i cnotę obrażających".

...„Gromadzą się tu zaproszeni przed dniem ślubu, bawią się skromnie dzień cały, następujący na tychże przepędzając rozrywkach rozjeżdżaniem się do domów własnych

---

*) Patrz. „Wieś" nr 27—28 (106—107) i 30 (109).

w wieczór kończą akt wesela. Gospodarza domu jest powinnością utrzymywać muzykanta, naczynia do jedzenia i sporządzić bankiet równy i jednostajny dla każdego za umówioną raz na zawsze cenę i za przepisaną ustawą potraw i napojów od osoby. Nasza przytomność pomaga do hamowania wszelkiej nieprzyzwoitości".

Ten sam dom służy przybywającym na nabożeństwa w święta za miejsce posiłku i odpoczynku. Tutaj też odbywają się sesje brackie, sądy i rządy, a także ogniskuje się w nim życie rozrywkowe parafii.

Troska o oświatę ludu znajduje wyraz w założeniu szkoły parafialnej i sieci szkółek wiejskich, wyposażeniu ich w odpowiednie warunki, związaniu z potrzebami i życiem chłopów i nastawieniu całej szeroko pojętej edukacji na wyższe wzory obyczajowe i gospodarcze. W związku z tym Ksiądz Pleban nie poprzestaje na ogólnej pieczy nad nauczaniem. Redaguje dla chłopów co tygodniowe pismo moralne, dostosowane do ich poziomu, zainteresowań i potrzeb, prototyp jakby wydawanego później przez Krasickiego w latach 1798 i 1799 czasopisma „Co tydzień". Dużą wagę przywiązuje Ksiądz Pleban — jak Pan Podstoli — do osobistego oddziaływania na dzieci chłopskie, dzieląc się z nimi wiedzą i doświadczeniem podczas wycieczek do ogrodu księżego, w pole czy do budowy.

Wieńczy dzieło społeczne Księdza Plebana opieka społeczna nad kalekami i ubogimi. Istnieję tedy dom dla starców i kalek, jest on jednak tylko niezbędnym uzupełnieniem idealnych stosunków społecznych, a nie uniwersalnym lekiem filantropii na krzywdę, nędzę i żebractwo. Poprawa doli chłopów, wpojenie w nich obowiązku opieki nad niedołężnymi krewnymi przy łatwości utrzymania ich w kraju rolniczym, rozsądek w szafowaniu jałmużną, ubezpieczenia od losowych niepowodzeń, usunęły źródła ubóstwa i żebractwa w parafii. Dom starców i kalek mieści tylko tych, którzy niezbędnie wymagają opieki zbiorowości nad sobą. Nim jednak uporano się z plagą żebractwa obciążało ono poważnie parafię. Obecnie, w jednym z domów, przeznaczonych dawniej na ten cel, mieści się dom poprawy dla uciążliwej młodzieży. Pieczę nad nią sprawują wysłużeni żołnierze, których dodatkowym obowiązkiem jest ćwiczenie jej w mustrze wojskowej; kalekami zaś i chorymi w całej parafii opiekują się „siostry miłosierdzia", rekrutujące się spośród wdów żyjących przy parafii na dewocji. Parafia utrzymuje je także za ich usługi prawdziwie pobożne i pożyteczne. Sierotom w parafii organizuje się rodziny zastępcze.

Podstawę ekonomiczną reformatorskich poczynań parafii stanowi kasa miłosierdzia. Fundusze jej pochodzą z dochodów z plebańskiej propinacji i opłat za wszelkiego rodzaju posługi kościelne, zrezygnował z nich bowiem na rzecz kasy Ksiądz Pleban, uważając „rolę plebańską" za dostateczny środek swego utrzymania. Kasa znajduje się we władaniu rady parafialnej, w której obowiązuje równość emokratyczna. Rada ta podejmuje inicjatywę gospodarczą i społeczną na wielu odcinkach, finansując przedsięwzięcia z funduszów kasy. Wspiera więc budowę kościoła, wznosi budynki dla instytucji parafialnych, dostarcza chłopom do budowy ich domostw cegły z własnej cegielni i szkła do okien, wspiera gospodarzy dotkniętych klęskami pożaru, gradobicia, zarazy lub nieurodzaju, przeprowadza sposobem szarwarkowym — jak Chreptowicz w swej majętności — meliorację gruntów i budowę dróg, wreszcie organizuje dla całej parafii z wykluczeniem pośredników, zbyt płodów rolnych i zakup artykułów rolnikom potrzebnych. Tu warto zauważyć, że autor nie waha się wystąpić przeciw panom, którzy sobie zyski nieprzyzwoite, jako:

....„Z industrii pochodzące, rozumieją być sprawiedliwymi, według woli podnosząc cenę i na włość narzucając poniewolnie, a tym samym biorąc na siebie rzecz przekupniów uciemiężających i oszukujących własne poddaństwo pod pozornym tytułem pana z zniszczeniem oraz miast, poddanych i częstokroć samych siebie dla zawodów i niepilności swoich szafarzów, otwierając jeszcze i dla tych wrota zdzierstwa i szalbierstwa"

W cytowanym zdaniu dochodzi raz tylko zdecydowanie do głosu kolizja między interesami panów i poddanych w **Księdzu Plebanie.**

Tak oto przedstawia się sprawa motywu „dobrego plebana" i innych, towarzyszących mu w romansie Kossakowskiego. Czy jest to romans? Autor protestuje przeciw traktowaniu jego opowieści o „dobrym plebanie" jako romansu „bo zawiera (ona) rzeczy „nie imaginacją potworzone, ale istotne, które być mogły i mogą", czym mimowoli wyprzedza wypowiedziane później przez kogoś dowcipne powiedzenie, że „historia mówi o tym, jak się rzeczy działy, powieść zaś, jak się dziać mogły".

Zdzisław Skwarczyński

Norman P. Caulfield (K. P. Nowak)

Na przełaj przez amerykański lipiec

U.S.A. w lipcu 1947 r.

Jak zwykle tak i w lipcu, mają Stany Zjednoczone swoje zmartwienia i niepokoje, które nic dobrego nie wróżą. Po szalejących w stanach Iowa, Illinois i Missouri powodziach spowodowanych deszczami i wylewem rzek Missisipi, Missouri i Des Moines, które zatopiły tysiące hektarów uprawnej ziemi i zniszczyły w poważnym stopniu zasiewy kukurydzy, jednego z najważniejszych produktów rolnych Ameryki — wyrastają nowe troski, tym razem w miastach. Troski spowodowane, po pierwsze —ciągłym drożeniem produktów żywnościowych i odzieży, po drugie — nowym prawem robotniczym, a raczej antyrobotniczym tzw. aktem Tafta - Hartley'a — od nazwisk jego autorów. Drożyzna przybiera coraz groźniejsze rozmiary. Od chwili zniesienia kontroli cen, tzw. O.P.A. w lipcu zeszłego roku, ceny podniosły się niekiedy do 152 proc., najmniej zaś do 108 proc., podczas gdy zarobki pracownicze wzrosły zaledwie o 6 do 12 proc. Ostatnie zniesienie kontroli komornego i wybryki kamieniczników podnoszących komorne, jak np. w Nowym Jorku, o 300 proc. — powodują zmartwienia i troski miast. Potęguje je zaś jeszcze akt Tafta - Hartley'a, zabraniający robotnikom walki z potężną organizacją fabrykancką N.A.M. — która jedyna jest odpowiedzialna za obniżanie zarobków, podnoszenie cen, znikanie produktów z rynku i ich sztuczny brak.

Ów akt Tafta - Hartley'a, który miał pono wewnętrznie wzmocnić Amerykę, na pewno jej poważnie zaszkodzi, wywołując nie tylko niepokój panujący już obecnie, ale i zamieszki robotnicze. W kraju rozpoczynają się ciągle bójki i nawet bójki z policją. W Remington - Rand, sławnych zakładach automobilowych walki trwały trzy dni i policja nie mogąc dać sobie rady z robotnikami przy pomocy pałek i wody, musiała zawezwać do pomocy wojsko, które też jest bezsilne.

Jest to dopiero początek. Wiosną przyszłego roku, przy zawieraniu nowych kontraktów, o ile prawo Tafta - Hartley'a nie zostanie cofnięte, dojdzie napewno do poważnego kryzysu i rozruchów. Robotnicy amerykańscy są zdecydowani walczyć o swoje prawa — uparcie z poświęceniem, jak to już nieraz czynili. C.I.O. — Związki zawodowe prowadzą tę walkę z coraz większym rozmachem popierane przez Am. Federację Pracy i Bractwo Kolejarzy. Napływają nowi ludzie, nowi zwolennicy ruchu reprezentowanego przez C.I.O. — farmerzy, rzemieślnicy, drobni kupcy zarzynani konkurencją wielkich departamentowych sklepów i domów towarowych. Ten akt okazał się naprawdę bumerangiem — raniąc dotkliwie pracę ugodził głównie jego autorów i sponsorów. Robotnicy obudzili się i podejmują walkę!

Dziś już wiadomo, że autorstwo aktu zaszkodziło tak poważnie sen. Taftowi, że nie może on w ogóle marzyć o nominacji na prezydenta U.S.A. z ramienia partii republikańskiej. Pocieszył się gubernator Dewey i generał Mc Arthur jako czołowi amatorzy prezydentury.

Górnicy amerykańscy na wieść o uchwaleniu nowego prawa antyrobotniczego powiesili swe czapki na kołkach i wyszli z oświadczeniem: „niech Taft kopie węgiel!". I nie wrócili do pracy tak długo, dopóki nie dostali poważnej podwyżki i ubezpieczenia na starość.

Tak więc brak węgla chwilowo przynajmniej zażegnano i ponowne zaciemnienie nie grozi Ameryce — za to brak stali jest coraz dokuczliwszy. Jak się to dzieje, że w wielkiej Ameryce, kraju nieprzebranych surowców brak jest stali — trudno wytłumaczyć prostemu człowiekowi — ale stali nie ma dużo, jest coraz mniej i z początkiem stycznia ma jej braknąć zupełnie. Po poprzednich machinacjach naftowych i wprowadzeniu kartek na benzynę, na środkowym zachodzie — brak stali uderza w przemysł i w produkcję amerykańską i może spowodować depresję. W ostatnich kilku dniach, w Detroit, w centrum przemysłu automobilowego, jedna tylko korporacja General Motor, zwolniła z pracy 115 tysięcy robotników z powodu braku stali. Unia robotników automobilowych żąda dochodzenia w tej sprawie jak i kontroli produkcji stali — ale nie wygląda na to, aby rozjeżdżający się do domu Kongres taką ustawę powziął — lub w ogóle o niej pomyślał... Będziemy więc mieć dalej „wolną konkurencję", kontrolowaną przez wielkie trusty i kartele — oraz prawdopodobnie bezrobocie. Do tego bowiem doprowadza gospodarka garstki rekinów przemysłowych nie kontrolowanych przez żadną władzę, wobec których naród jest bezsilny.

Nie lada sensacją lipcową były latające dyski, okrągłe przedmioty, bliżej nieokreślone, latające w stratosferze i sensacją są do dziś. Przyszło to z początkiem miesiąca. Początkowo meldowali o tych „dyskach" piloci amerykańscy — ale im nie uwierzono. Dopiero gdy setki i tysiące osób „dyski" widziało — w tym poważni dziennikarze — uwierzono w ich istnienie. Dyski te nadlatywały z zachodu, od Pacyfiku i widywano je aż do linii rzeki Missisipi. Leciały zwykle na wielkiej wysokości i nikt nie mógł nic pewnego o nich powiedzieć, poza niezbitym faktem ich istnienia. Opowiadano na ich temat najfantastyczniejsze historie. W Chicago opowiedziała mi pewna kobieta, że „znużony dysk, ociekający krwią i machający rozpaczliwie rękoma i nogami usiadł na werandzie jej domu". Według jej opowiadania było to stworzenie boskie, wymiarami i wyglądem przypominające błotnego żółwia. W St. Louis policjant powiedział mi, że widział dysk wielkości kamienicy, a na nim stojących z i e l o n y c h ludzi. Strzelił nawet do nich, ale nie trafił. W Mannhattan, w sercu Nowego Jorku, przysięgał mi jeden z przechodniów, że widział „dyski" lecące w kluczu, jak dzikie gęsi jesienią. W Indianopolis słyszano huk motorów dysków, latających gdzieindziej bezszelestnie. A w Milwankee powiedział mi pewien staryYankes:

— „Tu wygadują bajki, że ci ludzie z Marsa, siedzący na dyskach, mają po 7 par oczu. To bzdura!".

— „A ile też mają?" zapytałem —

— Po pięć, boy, po pięć?...". Osobiście wypatrywałem po niebie przez wiele dni i nocy niespanych. Nic nie zauważyłem. Być może dlatego, że nie byłem na Dalekim Zachodzie, być może nie jestem godzien. I mówiąc pomiędzy nami, zapisałbym te dyski na konto chorobliwej wyobraźni amerykańskiej — gdyby nie fakt że USA-Forces (lotnictwo) sprawę traktuje poważnie i w dalszym ciągu szuka. Kto dostarczy taki dysk, dostanie 3 tysiące dolarów. Kto dysk zobaczy, ma natychmiast telefonować do najbliższej bazy lotniczej.

Orson Welles, autor słuchowiska radiowego w 1938 roku, przedstawiającego rzekomy nalot z Marsa, podczas którego wybuchnęła panika (ludzie wariowali ze strachu i wyskakiwali przez okna na ulicę), zeznaje, że z dyskami nic wspólnego nie ma. Wierzę mu, gdyż obecnie zajęty jest przepraszaniem swej żony, cudnej tancerki Rity Hayworth. Dziś dzienniki wmawiają ludziskom, że te dyski to „cienie chmur" (na bezchmurnym niebie), cienie ptaków i samolotów", „fata morgana", plamy na słońcu... Inni twierdzą, że za tym „coś jest". Jedni twierdzą, że jest to nowa broń amerykańska, inni, że „oczy kosmiczne" i przyrządy obserwacyjne, wysyłane z Marsa — jeszcze inni — że to tajemnicza broń wysyłana przez pewne potężne państwo wschodnio - europejskie. Panuje ogólne mniemanie o trafności tej trzeciej wersji, nawet niektóre pisma wspominają czy warto krzyczeć o sile bomby atomowej, wobec tajemniczości tej nowej „broni". Dotychczas zgłosiły się tłumy ludzi dostarczając „dyski" — ale jak dotychczas na „dysk" prawdziwy nie natrafiono. Zniesione przedmioty okazały się pułapkami na szczury, dnami nocników, szczątkami balonów itp. przedmiotami pierwszej potrzeby.

Sprawa dysków zwróciła oczy narodu amerykańskiego na wzrastającą militaryzację ich kraju. Tradycyjna „cywilność" Ameryki stała się dziś bajką dla dużych dzieci. Jak nigdy przedtem w historii, na najwyższych urzędach nagromadzono generałów i wyższych oficerów. Szara eminencja Białego Domu, pozakulisowy reżyser i autor całokształtu polityki amerykańskiej, admirał Leahy, potrafił wprowadzić całą rzeszę wojskowych na wszystkie urzędy. Obok gen. Marshalla jako sekretarza stanu po ustąpieniu sekretarza wojny Pettersona w skład gabinetu amerykańskiego wszedł drugi wojskowy generał Royal. Oprócz tego jest pięciu generałów ambasadorami i cały szereg zajmuje stanowiska szefów różnych wydziałów, misyj i komisyj.

Co trzeźwiejsi twierdzą, że jest to straszna groźba dla Ameryki, że Stany Zjednoczone stoją w obliczu przewrotu wewnętrznego — co będzie miało w skutkach objęcie władzy w żelazne ręce głodnych panowania generałów (najczęściej pochodzenia niemieckiego) z admirałem Leahy — lub jego rywalem, gen. Mc. Arthurem na czele. Nie będzie to jednak dla generałów zadanie łatwe — będą mieli do zwalczania nie tylko ruch robotniczy, ale i dawne tradycje miłującej wolność Ameryki. I jeśli mają trochę rozumu w swych upartych głowach, to zahamują swe libido dominandi.

Dużo się także mówi o udostępnieniu publiczności pism prezydenta Abrahama Lincolna. Lincoln, jeden z najgłośniejszych prezydentów Ameryki, człowiek, który obalił niewolnictwo w Ameryce, był właściwie postacią tajemniczą. Po jego tragicznej śmierci wszystkie papiery, dokumenty, listy należące doń, zostały zagarnięte przez syna i zazdrośnie strzeżone. Żaden człowiek nie miał do nich dostępu, nikt nie wie co w nich właśnie było. Kilkakrotne próby dostania się do akt Lincolna, kończyły się awanturami i groźbami ze strony upartego syna, który dopiero umierając zapisał te dokumenty narodowi amerykańskiemu z tym warunkiem, że wolno je będzie obejrzeć w 21 lat po jego śmierci. Data ta przypada w sobotę 26 lipca. Z całego kraju udają się do Waszyngtonu wycieczki i delegacje, aby wziąć udział w tej niezwykłej uroczystości. Wielbiciele Lincolna sądzą, że otworzone akta otoczą go jeszcze chwałą, przeciwnicy, zwłaszcza południowcy, potomkowie konfederatów i secesjonistów, cieszą się, że wyjdzie nareszcie na jaw, kim był właściwie Lincoln. Trudno dziś powiedzieć, jak tam będzie — nie sądzę jednak, aby Ameryka miała zdegradować jednego ze swych największych bohaterów, będącego również bohaterem ludzkości miłującej wolność.

Józef Wiech

Wieś mojego ojca, Wincenty Rzepka, „Wieś" mojej żony

Gawęda

Czy jestem chłopem?

Takie pytanie postawiłem sobie, gdy przeczytałem w Nr. 23 „Wsi" rozmowę na temat: „Kto jest chłopem" I to pytanie nie daje mi spokoju. Czy ja mogę się przyznawać do chłopów nie narażając się na podejrzenie, że mam w tym jakiś osobisty interes na względzie.

Jestem rzemieślnikiem i moje rzemiosło nie jest specjalnie związane ze wsią, mieszkam w mieście. Urodziłem się w dużym mieście fabrycznym. Do snu kołysały mnie i budziły syreny fabryczne. Wieś znałem tylko z opowiadania rodziców, którzy do miasta przywędrowali ze wsi, skąd ich wygnała bieda. Nieraz wieczorami zimowymi, matka nam opowiadała, jak to jest na wsi, wtedy sen nam uciekał z powiek i słuchałoby się tych opowiadań bez końca. To też wieś była moją tęsknotą i morzeniem. Pragnąłem ją ujrzeć więcej niż dziś pragnę poznać kraje egzotyczne.

Nie wiem jak długo by mi przyszło czekać na to, bym ujrzał wieś, gdyby nie pierwsza wojna światowa. Wojna sprowadziła głód do miast i w następstwie głodu zaczął się odpływ ludności z miast w odwrotnym kierunku. Tak jak kiedyś za chlebem szli ludzie do miasta, tak teraz szli go szukać na wsi. I ja też porwany tym odpływem, mając lat 15, znalazłem się na rodzinnej wsi mojego ojca. Pomimo, że do stacji kolejowej było około 3-ch kilometrów, lecz była to wieś wtłoczona w lasy, które ją z trzech stron otaczały, a strona wolna od lasu była zamknięta górą. Położenie miała śliczne, ale za to była najbiedniejszą z okolicznych wsi. Bo skąd mogło tam być dobrze, jeżeli cały obszar miał 99 mórg pola, bez żadnych dodatków lub serwitutów i to podzielone na 15 gospodarstw i do tego jeszcze 3 domy tak zw. wyrobników, razem 128 osób ludności.

Można sobie wyobrazić jak by ci ludzie żyli, gdyby nie okoliczne lasy, które swymi bogactwami jak drzewo, kamienie, jagody i grzyby żywiły i odziewały ten ludek wsiowy. Dla mnie w pierwszej chwili, gdy tam się znalazłem, było najważniejsze to, że wieś moich marzeń nie zawiodła. Dała mi takie bogactwo wrażeń, że zdawało mi się, że jestem gdzieś daleko od tego kraju, w którym się urodziłem i żyłem do tej pory. Brak chociażby jednej szkoły na terenie tej gminy, do której należała wieś, sprawił to, że wieś była oderwana zupełnie od cywilizacji. Wszystkie obyczaje ludowe były wiernie zachowane, jak za czasów dzieciństwa mego ojca, a może jeszcze dawniej. Tu żyło się inaczej niż na drugich wsiach. Najważniejszą osobą i władzą był tu gajowy okolicznych lasów. Jego się tylko bano i co za tym idzie szanowano. Od jego humoru zależało powodzenie dnia, bo niech by się uwziął i nie wpuścił do lasu! Na kogo gajowy był niełaskaw, ten i pobiedować musiał zanim go w jaki sposób nie ujednał sobie

W takie to środowisko wszedłem i stopniowo jego prawom ulegać zacząłem. Z początku zaczęli się moi rówieśnicy naśmiewać z mego „mieskiego" sposobu mówienia, ale stopniowo zacząłem przyswajać sobie ich mowę i gdy moje „mieskie szmaty" prędko wykończyły się po leśnych ostępach i matka uszyła mi ubranie ze zgrzebnego płótna lnianego. niczym się już od nich nie różniłem. Lasy też już poznałem doskonale i bez przewodnika wszędzie trafiłem, a były to lasy nie małe, bo graniczyły z Puszczą Jodłową i zaliczały się do lasów Świętokrzyskich.

Opisując rodzinną wieś ojca, nie mogę pominąć osoby Wincentego Rzepki. Był on szewcem z zawodu i dokładnie nie wiem skąd tu przybył. dosyć że się ożenił i od krewnych żony wydzierżawił plac, na nim zbudował dom niczym nie różniacy się od innych domów i osiadł na stałe. Był bardzo dobrym szewcem, but jego roboty był bardzo wytrzymały, lecz szewctwo wykonywał niechętnie, za to chętnie leczył ludzi i bydło. Leczenie ludzi ograniczało się tylko do udzielania pierwszej pomocy tzn. smarowania, lewatywy i stawiania baniek lecz u bydła podejmował się leczyć każdą chorobę i chętnie szedł o każdej porze w najdalsze okolice, gdzie go zapotrzebowano. Trzeba przyznać, że jako lekarz bydła miał dobrą markę. Jego specjalnością było też pisanie listów od mieszkańców wsi do ich bliskich i krewnych, którzy wyjechali na roboty rolne do Niemiec i tam ich zastała wojna. W tych listach pisał zawsze wierszowany wstęp, a potem tradycyjne: „W pierwszych słowach mojego listu Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, a spodziewom się kochany synu, że mi odpowiesz na wieki wieków Amen", co normalnie z wierszowanym wstępem zajmowało pół listu. A jego niezaprzeczalną zasługą, którą położył na polu oświaty ludowej było to, że przez szereg zim uczył młodzież czytać i pisać i to nie tylko z tej wsi, ale i z okolicznych, bo jak zaznaczyłem na terenie tej gminy były 3 kościoły, a nie było szkoły i nikt się nie troszczył o oświatę wśród ludu. Jeden szewc Rzepka ze swej chaty robił szkołę i zimą schodziło się do niego około 50 dzieci obojga płci. Nie będę opisywał jakimi sposobami on nauczał. nie zawsze były one pedagogiczne, bo i bykowiec był często w robocie, jednak oświatę krzewił wśród ludu. Jeżeli on żyje jeszcze, powinien dzisiejszy rząd ludowy osłodzić jego ostatnie dni żywota, bo na to uczciwie zarobił.

Muszę też napisać jak to Rzepce wytrąciłem z ręki jego rolę pisarza listów i nauczyciela ludowego. Gdy przyjechaliśmy na wieś, jedna nasza krewna chciała napisać list do syna do Niemiec. Jak zwykle zaszła z tym do Rzepki, ale Rzepka poszedł aż do drugiej gminy leczyć konia i nie prędko miał wrócić, a tu list pilny, więc zaszła do nas i pyta, czy potrafię list napisać. Oczywiście list napisałem, bez tych różnych wstępów a starałem się stylem reporterskim opisać wszystko to ważniejsze, co stało się we wsi i okolicy i co mogło ich syna na obczyźnie interesować. Wkrótce przyszła odpowiedź i prośba, żeby tylko takie listy do nich pisać, bo list jest jak ewangelia czytany przez wszystkich. W ten sposób zająłem miejsce pisarza listów. Na jesieni chłopi zrobili naradę i przyszli do mnie z prośbą, żebym uczył ich synów i córki czytać i pisać, bo do Rzepki nie wszystkie dzieciaki chcą chodzić na naukę. Tak to mimo woli wyrwałem Rzepce dochód z tytułu nauczania dzieci. Przyznać muszę, że o to do mnie nie żywił żadnej urazy.

Za to dla mnie zaczęła się straszna harówka. Zaraz na początku zeszło się około 20 sztuk dzieci i z każdym dniem rodzice sprowadzali nowe. Do nauki przynosili różnego rodzaju książki a nawet modlitewniki. „Bo przecież przódzi tylko na takich uczyli się czytać". Najwięcej pomocy w nauce miałem z elementarza Promyka. Gdy udało mi się dobrać grupkę o jednakowych podręcznikach, tworzyłem komplet i w ten sposób ułatwiałem sobie naukę. Cały dzień chodziłem od grupki do grupki, od ucznia do ucznia i tak w koło, ale końcowy rezultat był taki, że przez parę miesięcy zimowych każdy uczeń umiał czytać i pisać, a zdolniejsi cośkolwiek rachować. W pierwszych dniach kwietnia szkoła zamykała swoje podwoje, by je otworzyć jesienią, gdy już roboty w polu były skończone a mrozy lub szarugi jesienne uniemożliwiały zwózkę liści i igliwa z lasu, bowiem jako podściółki pod bydło tylko tego używano, a każde źdźbło słomy szło na paszę.

Teraz warto opisać samą szkołę: mieściła się ona w domu, w którym mieszkała moja rodzina. Rano wczas gotowano śniadanie i po śniadaniu usuwano wszystko z domu, aby zdobyć jak najwięcej przestrzeni i wtedy wnoszono kozły, a na te kozły kładziono blaty zbite ze zwykłych desek i to już były stoły. Ławki do siedzenia przynosili bliżej mieszkający uczniowie sami i te pozostawały do końca roku szkolnego. tzn. do wczesnej wiosny. Ten system był stosowany i u Rzepki. Wieczorem wynoszono stoły i ławki i zamieniano izbę z powrotem na dom mieszkalny. Tak uczyłem przez lat trzy, t.j. do roku 1918, gdy odzyskaliśmy niepodległość i nasz rząd zaczął organizować szkolnictwo. Ja wkrótce poszedłem do nauki rzemiosła i na wieś już nie wróciłem, jednakowoż kontaktu z wsią nie zerwałem i czuję się zawsze chłopem. Żona moja pochodzi ze wsi i nigdy na nią nie wpływam, żeby starała się mówić po „miesku". Szanuję ją bardzo, za to ona szanuje moją „Wieś". Czytuję różne gazety i to dużo i wszystkie wolno żonie brać na opakowanie i „pod placki", tylko „Wsi" nie wolno. Taka między nami stanęła umowa i jest przez żonę ściśle respektowana. Więc czy mam prawo uważać się za chłopa?



Praktyczna nauka ogrodnictwa w Anglii



Fot. SIB Photoservice

Kobiety wiejskie w ZSRR słuchają wykładu profesora Edelszteina specjalisty od warzywnictwa na Uniwersytecie Moskiewskim

Leon Sobociński

W sprawie artykułu „Od Kmiotka do Zarania"

W zarysie historii czasopiśmiennictwa ludowego „Wieś" w nr 27—28, Henryk Syska bardzo trafnie przeprowadza różnicę pomiędzy kategorią pisma dla ludu i pisma ludowego.

Jest to różnica prawie niedostrzegalna, a jednak zasadnicza i od tej strony wspomniany zarys rozpatrując, uznać trzeba, że jest przemyślany gruntownie i opracowany dość wyczerpująco.

Nie mniej wszakże autor zarysu nie ustrzegł się błędu, tak zresztą zrozumiałego — skoro chodzi o teren prawie nietknięty, jak dzieje prasy ludowej.

Autor zarysu uważa, że pierwszym tego rodzaju (to jest czasopismem dla ludu) jest niewątpliwie „Przyjaciel Wiejski", wydawany za czasów Księstwa Warszawskiego w Kaliszu 1811 roku.

Otóż tak nie jest. Pierwszym pismem dla ludu były „Gazety Śląskie dla ludu pospolitego", które się ukazały w r. 1790, prawdopodobnie we Wrocławiu.

Dlaczego piszę „prawdopodobnie", a nie „niewątpliwie"? Po pierwsze dlatego, że w dziedzinie tak jeszcze nie zgłębionej dostatecznie, jak dzieje czasopiśmiennictwa w ogóle, a już ludowego w szczególności, ostrożność w formułowaniu pewników nie zawadzi.

Po drugie: — z dochowanych szczątków „Gazet Śląskich dla ludu pospolitego" nie można ustalić domicilu ani drukarni, ani redakcji. Nie jest znany ani redaktor ani wydawca tego pisma.

Z tego czasopisma dochowała się zaledwie Kartka II z Miesiąca Lutego 1790 r. (tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego roku). a więc na 21 lat przed ukazaniem się „Przyjaciela Wiejskiego".

Wszystko przemawia za tym, że czasopismo to ukazywało się na Dolnym Śląsku i że żywot tego wydawnictwa nie był zapewne długi. W każdym razie „Gazety Śląskie dla ludu pospolitego", które ukazały się wcześniej nawet aniżeli „Gazeta Narodowa" w Warszawie, są imponującym świadectwem polskości naszych ziemi, przywróconych Polsce po tylu latach jarzma pruskiego.

Z kartki, jaka pozostała po tej „Gazecie Śląskiej dla ludu pospolitego" trudno jest się zorientować jaki charakter miało to wydawnictwo.

To tylko jest rzeczą pewną, że poświęcone ono było życiu wsi chłopa dolnośląskiego gdyż pismo przynosiło rady praktyczne, gospodarcze pouczenia dla rolników a dotyczące chowu bydła, leczenia zwierząt domowych, wskazówki lekarskie, zalatujące znachorstwem, mimo, że z treści niektórych wzmianek *i artykułów przebija tendencja walki z gusłami* i zabobonem. Nazwaćby można te tendencje walką z ciemnotą.

Polszczyzna tych artykułów rejowska, tęga, jędrna, dostosowana do poziomu wiejskich warstw pracujących.

Język nieozdobny, prosty, powszedni, taki jakim właśnie operuje szara ludowa pospolitość, tak jak mówi chłop do chłopa.

Oto przepis na leczenie oparzenia:

„Sparzywszy sobie palce albo rece, wrzucić garść popiołu do szklanki, albo garnuszka, przyley tyle octu (kwaśnego) tęgiego, aże się bryla gęsto stanie, a wraż do niej palce, albo przyłóż do członka spalonego a zawiąż. Boleści wnei ustaną, a twarda pozostała skóra za kilka dni sama sie odłupi".

Przytoczyło się ten przepis z zachowaniem oryginalnej pisowni, w której zwraca uwagę szczegół, że brak niekiedy jest liter „ł", „ą" i „ę". Czy jest to wina korekty, czy to sprawa technicznych braków, w te rzeczy nie wchodzę.

Nie o to zresztą chodzi. Ważne jest że pierwsze pismo dla ludu ukazało się na Śląsku w końcu XVIII stulecia.

Niniejsza notatka nie ma na celu podważania solidności pracy autora „zarysu historii czasopiśmiennictwa ludowego", owszem tę solidność i duży wkład znajomości przedmiotu, wykazanego przez autora, z całym uznaniem podkreśla, nie mniej dla samej prawdy trzeba poprawić cyfrę nakładu „Gazety Grudziądzkiej" w latach 1909—1914 z 90.000 na przeszło 100.000.

Jest to szczegół o tyle ważny, że pismo niemieckie, jak „Geselliger", powołane w Grudziądzu do utrącenia „Gazety Gr." nie mogło się pochwalić nawet połową tej ilości prenumeratorów.

Z tego, że autor pominął w swym referacie „Gazetę Olsztyńską", która przecież była założona przez ludzi spod strzechy chłopskiej, nie będę czynił zarzutów, gdyż autor sam przyznaje, że jego wyliczenie prasy ludowej czy dla ludu jest niekompletne.

Tak, czy inaczej szkic Henryka Syski na temat czasopiśmiennictwa ludowego jest wartościowym przyczynkiem do dziejów prasy ludowej w Polsce, którego przyszły badacz tych dziejów nie może pominąć.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Jan Pocek — Zgrzebne pieśni — Ludowy Instytut Kultury, Łódź 1947 — str. 32.

Problemy Osadnictwa rolniczego — zeszyt II Biuro studiów osadniczo - przesiedleńczych — Kraków 1947.

Siewba — kwartalnik Uniwersytetów Ludowych styczeń — czerwiec 1947 nr 1—2 Tow. Uniw. Lud. R.P.

Michał M. Borwicz — Organizowanie wściekłości, słowo wstępne: Zofia Nałkowska. Wyd. ogólnopolskiej Ligi do walki z rasizmem. Warszawa 1947 r.

Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza"

Andre Maurois — Klimaty — Przekład Wacława Rogowicza — powieść — stron 230.

Ignazio Silone — Chleb i Wino — przekład Stefana Pomiana — powieść, stron 382

Tadeusz Manteuffel — Średniowiecze, stron 150

Zofia Szymanowska — Opowieść o naszym domu (Wspomnienia o Karolu Szymanowskim) stron 140.

Wydawnictwo Expressu Wieczornego

Kazimierz Wroczyński — Baczność — powieść — stron 232.

Redaktor naczelny: **Jan Aleksander Król.**
Redaguje Komitet

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom Chłopskiej.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2. D—015999